



Ś. p. Kazimierz Laskowski (El).

Zgasł poeta, jak gaśnie słońce o zachodzie, które promieniami przez cały dzień boży błogosławiło kołyszące złote łany, szmaragdowe wonne łaki i te strzechy szare, bólem polskiej ziemię pochylone...

Zgasł poeta pieśniarz dobrotliwy, który słonecznością swą ból w sercach naszych koił, lub jak skowronek wdzięczny śpiewak boży—wlewał o wiosnie technienie ożywcze, nadzieję przyszłych plonów i owoców pracy na glebie ojczystej...

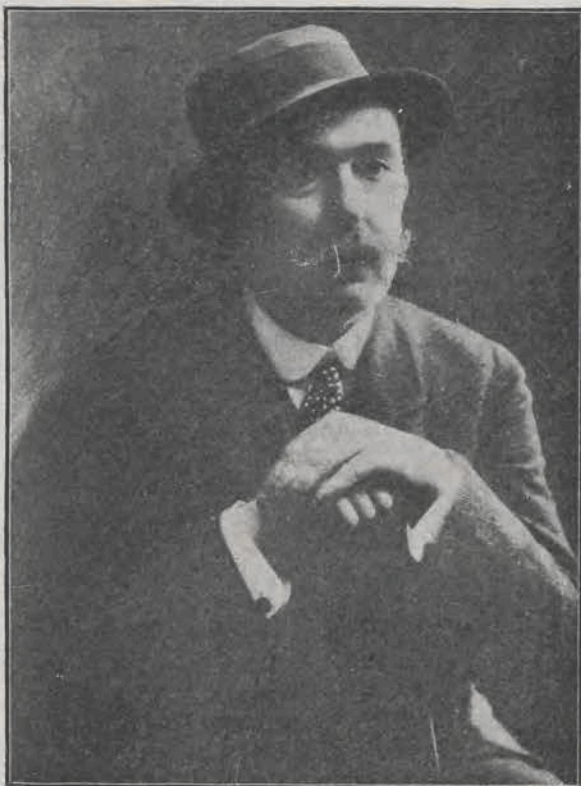
Jeno że odwieczery w życiu swem nie doczekał, tylko krótko z południa, w sile męskiego wieku na sen wieczny matka-ziemia go przygarnęła. Ukochanyć to był jej synek, macierz swą nadewszystko miłujący. Wdzięczny za dobroć i stroskany za jej ból, lirenkę swą tylko dla niej stroił a na wesołą ci nutę przygrywał, oj, skocznie nieraz, oj

z pogodną serdecznością taką, pomny że cierpienie tylko jasna pieśń ukoić może...

Bogacz to był wielki w skarbnicy serca swego jeno najszlachetniejsze perły a najczystsze brylanty przechowywał, aleć i szczodrym był panem, hojnie skarbami tymi dając, niby hojny gospodarz, który w czas

siewby o jasnej wiosence złote ziarna płodnej glebie rzuca. Tam od łaki woń kwietna mu zaleci, tu zorana gleba oddechem swym ożywi a—hen—w górze z przestworza, niby z pod Tronu Pańskiego z błękitów sypie skowronek srebrzyste swe trele... I idzie dobry gospodarz wśród tych cudowności i jakoś lekceją mu ciężkie brzemieźność a wdzięczny za te cuda, wszystko radby z duszy a serca swego oddać, radby wszystkie ziarna wsiąć na przyszły plon w macierzyste łono ukochanej gleby polskiej.

Ale przyznać mi muszę
[ziemi czy w niebie,
Żem swe ziarenka posiewał
[zawsze czystą ręką,
I nawet w gorzkich chwila-
[lach i o twardym chlebie
Przenigdy beznadziejną
[nie dzwonił piosenką,
I że Tej, z której wszyscy
[i duchem i ciałem,
inni mogli dać więcej, ja
[wszystko, co miałem.



Kazimierz Laskowski (El)
(ur. 1861 r. — † 29 stycznia 1913 r.)

godzić z brutalną rzeczywistością, która twar-
dą stopą bluźnierczo najpiękniejsze serca dep-
cze, która w walce o byt wydziedzicza nie-
tylko z mienia doczesnego lecz brudną swą
dłonią poważa się wyżej jeszcze sięgać po
dobro w duszach ludzkich, by iskry święte
przytlumić, zagasić i podeptać. To też zetknię-

Poeta z bożej łaski, El nie umiał się

cie się poety z tą brutalną rzeczywistością od-
zywało się zawsze najstraszniejszym dyso-
nanssem. On nie chciał i nie mógł nagiąć
się do jarzma, które mu rzeczywistość gwał-
tem narzucała, targał łańcuchy, którymi go
co chwila przykuwano, bronił swych skrzy-
deł pegaza, które bezlitosna dłoń losu, zbroj-
nym nożem walki o byt, ohydnie pragnę-
ła podciąć. Bronił się aż do śmierci i z wal-
ki tej wyszedł zwycięsko!

El był wesoły w swych pieśniach, było
w nich nieraz coś z tej zamaszystości, coś
z tego męstwa i tężyzny szlacheckiej, lecz
była tam i ta nuta jakaś inna, która głę-
szym tonem z jakichś zachłanniejszych a eu-
downych zakątków serca kochającego ku
nam płynęła, było tam coś, co jego pieśni
nie pozwalało tylko zadzwonić — olśnić i zgas-
nąć, było coś co utrzymywało nam jego piosnkę
w głębi polskiego czującego serca... była
tam — tęsknota, dostojna królewska pani,
nadająca w promieniach swej korony trwałą,
szlachetny nieprzemijający blask wszystkie-
mu, co tworzył wybraniec jej — poeta.

Bez tęsknoty niema pragnień szczyt-
nych, tęsknota błogosławi najszlachetniej-
szym naszym dążeniom, przez tęsknotę zwy-
cięzamy, przez tęsknotę urzeczywistniają się
ideały, tęsknota jest złocistą strzałą ku praw-
dzie.

Tęsknił i El, tęsknił do czystej polskiej
ziemi, która go wydała, tęsknił do ludu
zbożnego, krwawicą swą uprawiającego za-
gony... i była w tej tęsknocie głębia—pra-
gnął poeta nieść z ludem wspólną pracę Oj-
czyźnie, na dobro przyszłych jej plonów
wsiewać z złocistym ziarnem perły potu
w trudzie poczętego, — bodaj że serce swe
z piersi własnych by wydarł, by złożono je
na ołtarzu Tej, która była całym jego miło-
waniem, której dźwiatwę a brać swoją uko-
chał. Na ofiarę wszystko by złożył dobry
syn Macierzy! I czuł najgłębiej, że przecież
trud a praca jego nie będzie chyba zapom-
niana...

„Będzie mi może kiedyś policzone,
Żem nigdy w obcą nie poglądał stronę,
Żem ku tej ziemi miał oczy wpatrzone“...

Oj, pamiętać, będziemy pamiętać ci Elu,
jakożes do serc naszych skowrończą swą
pieśnią zalatywał...

Ś. p. Kazimierz Laskowski urodził się
w r. 1861 we wsi Tokarnin w jędrzejow-
skim. Nauki pobierał w Krakowie, wyższe
studja odbywał w Niemczech.

Jako ziemianin zaczął pracować na za-
gonie ojczystym w majątku Podgaje, skąd
też pierwsze swe utwory, jak koresponden-
cje lub ulotne wierszyki, przysyłał do pism
warszawskich. W 1890 r. wybrano Laskow-
skiego na zastępcę rady Tow. Kred. Ziem-
skiego w Kielcach, jednak już w 1892 r.,
zmuszony okolicznościami, osiadł na stałe
w Warszawie.

Niewątpliwie wielki dramat życiowy
przeżył poeta, opuszczając rodziną wioskę,
ukochany lud i środowisko w którym wzrósł
z którym zżył się i z którym łączyły go dro-
gie wspomnienia. Odtąd jednak poezja jego,
pogłębiona tęsknotą, dzięki której gorętszą
jeszcze staje się jego miłość ojczyzny, na-
biera większej siły, szczerzej jeszcze chwy-
ta za serce a talent pieśniarza potężnieje.
Jak z rogu obfitości sypią się wiersze Ela,
umieszczane w czasopismach warszawskich
a prócz poezji pisze również powieści jak:
„Parcelacje“, „Zużyty“, „Kulturtraeger“, „W
ojców ślady“, „Na giełdzie cnoty“, „Licy-
tanci“, „Dla zabicia czasu“, „Chłopska dola“,
„Kosztowni dobrodzieje“, „Dygnitarze wio-
skowi“, „Z powrotem“ i t. d. oraz utwory na
scenie: „Pogrzeb“ (do wspólki z Junoszą),
„Bieda“ (do wspólki z Bolesławskim) i inne.

Laurem jednak uwieńczyła mu skronie
serdeczna jego wybranka poezja, a pieśni
wydane następnie w oddzielnych zbiorach:
„Wiersze i śpiewki“ (serja I i II), „Z chłop-
skiej piersi“ (serje I, II, III, IV, V), „Bańki
mydlane“, „Z pod serca“, „Z majowych dni“,
„Melodja“, „Pozwól mi mówić“, trafiły wszę-
dzie gdzie biło polskie serce — nietylko więc
do wybranych i możnych, lecz nawet i pod
strzechy wiejskie.

Niech w żalu po pieśniarzu, który dziś
odszedł od nas, polska czysta iza zrosi te
zagony w które on, gospodarz dobry, złote
swe ziarna wsiewał... niechże tem bujniej
rosną i rozwijają się w kłos na przyszły plon
i chleb błogosławiony.

Walenty Zieliński.



LISTY Z BALKANU.

(Oryginalna korespondencja „Złotego Rogu“).

IV. PIERWSZY WIECZÓR W BELGRADZIE.

(Do miasta. Pomiędzy ściśnione lepianki. Tragedja nad tryumfem stolicy. Ostatnie dzieje Serbji. W centrum Belgradu. Portjer hotelu Belle-vue. Hotel Moskwa Kawiarnia. Cudzoziemskie towarzystwo. Dziewczyna, która szuka. Z mojego balkonu).

Belgrad dnia 30 stycznia.

*Ajdy!*¹⁾ zakrzyknął woźnica na konie i karetka ruszyła do miasta.

W turkocie wehikułu po kańczastym bruku przecinamy rozległy plac przed dworcem, zarzucony gruzem i zwaliskami, przejeżdżamy urywek szerokiej, prostolinijnej arterji, oświetlonej kulami elektrycznych lamp, zawieszonych nad osią ulicy, mijamy szereg małych, jednopiętrowych domków, sterzących samotnie między pustymi rozłogami, okolonymi walącym się płotem i skręcamy w boczny zaułek, łączący stację kolejową z rdzeniem Belgradu.

Wyglądam przez szybę i staram się odczytać nieznamy tekst miasta.

Noc jest jasna z kręgiem nowiu żółtego na intensywnym błękitnie nieba i połyskliwymi refleksami na dachach i kałużach wody.

Droga wspina się stromo pod górę, wstęgą nieregularną.

Małe, koszlawe lepianki cisną się gęsto i duszno, jak walące się domki, które dzieci z kart sobie budują. Zdaje się, że lada silniejsze uderzenie wiatru położyłoby je pokotem na ziemię. I może w takiej właśnie obawie kupią się tak i tulą do siebie, niby spłoszona trzoda owiec, w ścisłu szukająca ratunku.

* W oddali, na wzgórzu piętrzy się kilka większych gmachów, jeszcze oświetlonych.

Przygniatająca cisza cięży nad snem Białogrodu.

Tylko stronami ulicy szumią płowe strumyki błotnistej wody, z impetem w dół lecącej, a z bocznych uliczek jak z tunelów wypadają fale jęklwych poszumów wiatru, niby roztrzęsione kudły wiedzy i rzucają złowieszczą szymbami karetki.

Z za jakiejś niedomkniętej okiennicy wydzierają się pasemka światła, jak szczeble promiennej drabiny, z za jakichś niedopartych drzwi jęczy zawodząca nuta pieśni serbskiej w akompanjamencie jednostajnych pobrzęków tamburina.

Ani żywego ducha na ulicy.

Wymarły odgłosy miasta i stęzał ruch wszelkiego życia.

Jeno błoto przewala się pod kołami powozu i chude, zbiehdzone psy wałęsają się po kupach gnoju, szukając nocnego żeru świecącymi z głodu ślepiami.

Jakże jest cicho! — i blade! — i sennie! — i jakże ta blade cisza jest niepokojąca!..

Jakaś dzika groza płynie z tej martwoty, jakieś wrogie istnienie czai się w mroku podwórzy, w cieniach ogrodów...

Zda się, że śmierć chodzi głuchymi krokami po pod wygasłe okna osieroconych mieszkań, w których matki snu znaleźć nie mogą.

Tajemnie, jak w ementarnej opowieści, tragedia rozpina swe czarne skrzydła nad tryumfem stolicy — —

Oczy moje zwolna oddalają się od widocznego świata i kierują się w głąb swoich własnych myśli.

Na niezniszczalnym różańcu pamięci przewlekają się obrazy z ostatnich dziejów Serbji — wieki pogańskiego noża i bata, wieki zrezygnowanej niedoli, bohaterskie porywy skąpane w rzece krwi i łez morza, noce apatji i niewiary, świtanie dni radosnych — i zorza chwili dziejowej, świecąca wojskom na wymarsz na krwawe drogi przeszłości!

Niepokój trwożnego oczekiwania — —

I pierwsze wieści zwycięskie!..

Przyszyna wzięta! Na grobie kossowskich bohaterów świece ofiarne goreją!

Turczyn zbit pod Kumanowem!

Skoplje, stara kolebka carów serbskich zrzuciła kajdany i przez łyż ostatnie uśmiecha się do oswobodzicieli!

Hucznie, rozgłośnie, jak promienny hymn płyną radosne zwrotki nieśmiertelnej pieśni narodowego Tryumfu!..

Cicho, żałośnie, jak sierocy płacz idą smutne skargi nieśmiertelnej pieśni ludzkiego cierpienia!..

Jakże blade widzę na tem tle głębokiem dalekość mojego własnego życia i małość moich własnych trosk.

Jakże boleśnie widzę na tej kanwie heroicznej szarość *naszego* życia i niespełnione spełnianie się *naszych* trosk.

¹⁾ Okrzyk używany właściwie przez pogania-czy wołów. W Serbji w powszechnem używaniu.



Ulica Bałkańska w Belgradzie, którą nasz korespondent jechał z dworca do miasta i którą w „Liście“ opisuje. (Specjalne zdjęcie dla „Złotego Rogu“).



Terazilje w Belgradzie, centralny punkt miasta. Duży gmach na prawo, to hotel Moskwa (wskazuje strzałka). Wieżę królewskiego Konaku wskazuje gwiazdka. Uderza brak ruchu na ulicy, mimo że zdjęcie dokonane zostało w godzinie południowej.

Czy znacie ból łkania na dumnych polach dokonanego czynu, którego dokonali... inni?! Czy znacie udrękę utęsknionej duszy w obliczu ziszczonych pragnień, które się ziściły... innym?! —

Zapadłem się w myśli pełne sromu i żalu i nawet się nie spostrzegłem kiedy karetka wytoczyła się na szczyt wzgórza i wjechała w nową ulicę.

Jesteśmy zapewne w centrum miasta.

Pod zbloconemi kołami dudni głucho bruk drewniany — lampy rzucają blaski nieco jaśniejsze — kilka kamienie dwupiętrowych dźwiga się nad poziom staroświeckich domków — z okien zwisają chorągwie o barwach narodowych ²⁾, z poza szyby jaskrawej kawiarni kładą się smugi światła na wilgotny chodnik.

Inny jest nieco wygląd tej dzielnicy, lecz cisza jednaka.

W końcu karetka zatrzymuje się przed jakąś bramą, ziejącą chłodem ciemnego korytarza:

Wychodzi człowiek obrosły, skrzywiony, zaspany i niezadowolony. Czapa mu się wznosi w górę, a wąsiska w dół opadają.

— Czy to jest hotel Belle-vue?

— Hotel Belle-vue.

— Czy będzie pokój wolny?

— Będzie.

— Można zobaczyć?

— Można.

— Idziemy na drugie piętro.

Portjer wskazuje na drzwi, przed którymi sterczą dwie pary zbloconych bucików: jedne damskie, drugie męskie.

— To jest ten pokój, powiada.

— A te buciki?

— To są buciki tych państwa, którzy śpią w tym pokoju.

— Jakże to?! Przecież to jest pokój dla mnie.

— Będzie.

— Co to znaczy będzie?

²⁾ Kolory, jak francuskie: niebieski, czerwony i biały.

Teraz jest godzina jedenaśta. Ci państwo jadą o szóstej i pokój o szóstej będzie wolny.

— A tymczasem?

— Tymczasem może pan... „odpocząć“ w restauracji. Restauracja jest zamknięta. Tam jest całkiem spokojnie.

— O! chytry człowieczku Wschodu! gdybym się był nie bał spłoszyć ciszy Belgradu, byłbyś zachował po mnie rozgłosną pamiątkę.

Zemściłem się zresztą inaczej. Kazalem go odfotografować i posyłam wam jego zmyślną podobiznę. Niech wie Warszawa, jak wygląda portjer hotelu Belle-vue w Belgradzie.

Ale tymczasem byłem pełen gniewu w duszy i umęczenia.

Po godzinnej tułaczce po ulicach miasta, po targach i ugryzaniach się ze sprytem służby gospodniej, z brakiem miejsca, z bezczelnością cen, znalazłem wreszcie przytułek w hotelu „Moskwa“.

Senny byłem i śmiertelnie wyczerpany drogą, ale ciekawość przemogła zmęczenie. Przemylem oczy wodą i zszedłem do kawiarni.

Znowu ta cisza! ten denerwujący spokój! to przejmujące, przytłaczające skupienie!

W rozległej, z wiedeńska urzędzonej sali kelnerzy przewijają się na palcach, goście rozmawiają szeptem, wyraźnie słychać szelest obracanych gazet i syk lamp gazowych u stropu.

Towarzystwo przeważnie cudzoziemskie,

Przy wielkim stole środkowym tłoczą się zagraniczni korespondenci i czytają dzienniki sposobem ludzi, którzy się śpieszą, wodząc miarowo głową i oczyma po szybko przemierzanych szpaltach.

W kącie grupa lekarzy w barwnych uniformach całej Europy dzie-



Typ portjera hotelowego w Belgradzie. (Specjal. zdjęcie dla „Złotego Rogu“.)

li się po cichu ostatnimi wypadkami po szpitalach.

Przy bufecie fabrykant francuski zachwala swój aeroplan oficerowi generalnego sztabu, a głośny poseł z krajów korony św. Wacława ofiarowuje licznemu gronu znane sympatje czeskie i znane czeskie fabrykaty.

Kilka kobiet i kilku mężczyzn z przepaskami „Czerwonego Krzyża“ na ramieniu opowiada jakiemś dziennikarzowi szczegóły z ostatniego transportu rannych z pola walki.

Obok mnie siedzą dwie panie.

Matka przegląda ilustracje a córka błąka się po sali wzrokiem błędnym, jakimś spragnionym, rzucając nerwowo głową za każdym ruchem w lokalu.

Kelner spostrzega moje oczy zawieszane badawczo na dziewczynie i niepytany objaśnia:

— Córka doktora—miała narzeczonego, który przepadł pod Kumanowem bez wieści — codziennie tu przychodzi—tu i do wszystkich kawiarni, do wszystkich cukierni—my już ją znamy—nazywamy „panną, która szuka“—gdy tylko przyjdzie jaki oficer z dunawskiej dywizji, do niej go prowadzimy—wszystkich się pyta—pyta się i prosi i szuka i wypytuje — czasem odejdzie nagle i ani słowa nie powie — czasem się rozplacze — narzeczony był porucznikiem przy drugim pułku konnicy.

Tak mię kelner objaśnia, podając mi kolację.

Chociaż zgłodzony, jedzenia przelknąć nie mogę.

Myśli jak skrzydła błękitnych jaskółek muskają bladą głowę cudnej dziewczyny w żałobie—jak roje dobrych pocałunków trzepocą się w jasnym lokach „dziewczyny, która szuka“.

Uplýwa jakaś chwila cicha i smutna.

Do kawiarni przychodzi młody brunet, wytwornie ubrany i przysiadł się do panny w żałobie. Oczyma ją obejmuje ciepłymi, garnie się do niej rozkochaną twarzą i szepce słowa wonne, i serdeczne, przesłodkie.

Dziewczyna go słucha jak przez sen, przez jakiś jasny, biały, niezapomniany sen — — —

A w mojej pamięci tłucze się zwrotka natrętna i usta same wymawiają:

On wojuje — rok upłynął
On wojuje — może zginął
Panno! szkoda młodych lat!...

Zamknęto kawiarnię.

Wróciłem do numeru, otworzyłem balkon i z wysokości trzeciego piętra, panując nad obszarem świata, spojrziałem na miasto.

Noc była jasna z kręgiem nowiu żółtego na intensywnym błękitnie nieba i połyskliwymi refleksami na dachach i kałużach wody.

W oddali owijał się Dunaj cynową wstęgą dokoła wzgórza, na którym leży Belgrad.

Za Dunajem migotała aleja świateł zemuńskich.

Przygniatająca cisza ciążyła nad snem stolicy.

Dołem, po pod hotelem wracała moja dziewczyna z kawiarni, niosąc swe jasne loki i swój nieutulony żal do domu—na noc bezsenność...

Zamknąłem balkon i ułożyłem się na spoczynek.

Lecz i moje oczy snu znaleźć nie mogły.

W szeroko rozwartych, w sufit utkwionych żrenicach kwitły mi jasne loki „dziewczyny, która

za szuka“ i po ciemnościach pokoju niosła się melodja śpiewnej zwrotki:

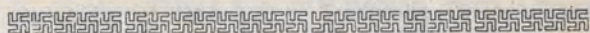
On wojuje — rok upłynął
On wojuje — może zginął
Panno! szkoda młodych lat!...

Młodych lat!... Młodych lat!...

Mieczysław Jęłowicki.



Napoleon serbski. Następca tronu, Alexander, komendant I-szej armji serbskiej, która oswobodziła Skopije, przedstawiony jako Napoleon serbski. Obrazek wielce w Serbji popularny, charakteryzujący patriotyczne uniesienia narodu.



K A Z E R.

ODGŁOSY.

Mamy poza sobą gorący, burzliwy styczeń. Rok fatalnej trzynastki rozpoczął się wśród zdeenerwowania powszechnego. Jeżeli sam jego początek zapowiadał jakąś ulgę po chaotycznych powikłaniach stulecia Borodina i Berezyny, nadzieje wytechnienia rozwiały się prędzej niż przypuszczali pesymiści. Żyjemy w czasach, w których pokrywa wielkiego kotła współczesnego życia zaczęła się unosić nad nagromadzoną parą gorących tęsknot, pragnień, krzywd i walk ludzkości. Stróże kotła przylutowują pokrywę i związują ją łańcuchami, ale praca ich jest beznadziejna. Lutowanie roztapia się, łańcuchy puszczają ogniwa i pokrywa znów podnosi się i opada wśród pogwaru wewnętrznych bulgotań. Nikt niema odwagi zajrzeć do wnętrza, sięgnąć w głąbię i nową zawartością wypełnić stary kocioł. Wszyscy wiedzą, że prędzej czy później musi pęknąć zardzewiała pokrywa, ale żyją nadzieją, że przyjemność przeżycia tej chwili uda się przekazać następnemu pokoleniu.

— Po nas niech będzie potop — zdają się mówić ludzie powołani do steru na wielkim okręcie dni terażniejszych — byleby było dane nam spędzić życie wśród tego układu stosunków, który zapewnia sen spokojny, stół zastawiony, niezamącone użycie darów kultury panującym warstwom i ludom.

Oczywiście są warstwy i są ludy, do których ten epikureizm nie przemawia, już choćby dlatego, że w dzisiejszym układzie stosunków śpią niespokojnie, jedzą mało, dobrodziejstwa kultury znają z zewnątrz, a przyjemności panowania albo odczuwają tylko na własnej skórze przez bierne w nich uczestnictwo, albo też doznają w nich ograniczeń tak dotkliwych, że cień wolności, z jakiego korzystają, zaostrza tylko ich głód i żądę samodzielności. W tem położeniu znajdowały się właśnie ludy bałkańskie, którym humor Bismarcka pozwolił na bawienie się operetką dworów bez władzy, bez pieniędzy, w środowiskach ludzi pogrążonych jeszcze w cywilizacyjnym półbarbarzyństwie. Obmierzy Prusak, w którym poza skórą hipopotama tkło się serce ludożercy, choć paliło się w mózgu światło genialnej siły woli, przygotowywał na Wschodzie tylko widowisko podobne do tego, jakie radowało serce molochu rzymskiego: widowisko wzajemnego zagryzania się istot niższego rzędu. W tym wschodnim cyrku świat mużułmański stwarzał feerję bajki z tysiąca jednej nocy, z baletem haremów i eunuchów, czarami Dołma-Bagdży i Aji Sofji, panoramą wież Gałaty i Seraskieru, pachnącemi nocami Bosforu; świat ten dostarczał zarazem stróżów zwierzyńca ludzkiego — od czasu do czasu organizował hekatombę z chrześcijan, wysyłał pławiące się we krwi wyprawy w wąwozy macedońskie i albańskie góry, podniecał i popędzał do wzajemnych wojen, spisków, intryg i zasadzek ościenne pantomimy słowiańskich i greckich statystów. Niemiec nie potrzebował się nudzić przy czytaniu gazety i miał gdzie sprzedawać tandetę swojego przemysłu, złą amunicję i wybrakowaną broń swoich fabryk.

Bulgotania niebezpiecznego zakątka Europy zostały w ten sposób zamienione w miłe wodewilowo-melodramatyczne divertissement dla kupczącej, oszukującej się, rujnującej się na pokojowe zbrojenia i deklamującej o humanitaryzmie ludzkości. Tę zabawę przerwały wypadki czerwcowe 1908 roku. Do programu całego divertissement weszły sceny zupełnie nieprzewidziane. Teorja pomieszała się z melodramatem w dzikim skłębieniu. Rewolucje i kontrrewolucje zaczęły tracić żartobliwy charakter: w statystach poczęły się budzić dusze ludzkie, na widowni ukazali się aktorowie, którzy role swoje zaczęli brać bardzo na serjo. Rzecz charakterystyczna, że pomiędzy tymi aktorami dwaj najwybitniejsi jakoby nie są wcale z pochodzenia ani Turkami ani bałkańcami. Kjamił-Basza jest żydem, Enwer-Bej jest podobno polakiem. Niech i tak będzie.

Łatwo wierność warszawska mylnie wyobrażałaby sobie jednak, że dramat, jaki się rozegrał 23 stycznia w pałacu Wysokiej Porty we wschodnim Stambule jest oddalonym echem naszej świeżej wojny polsko-żydowskiej, i że obalenie Kjamiła-Baszy przez Envera-Beja było odwetem za wybór p. Jagielly i za opanowanie Towarzystwa Kultury Polskiej przez przeciwników Aleksandra Świętochowskiego i Andrzeja Niemojewskiego. Zarówno Kjamił-Basza jak i Enwer-Borzęcki-Bej, mimo swego domniemanego pochodzenia,

uważają się za Turków i gotowi są oddać życie dla swojej ojczyzny; o ich bezgranicznym patriotyzmie tureckim nie wątpią nawet ich wrogowie. Kjamił-Basza jest mężem stanu, słynącym z głębokiego rozumu, z wiedzy świetnej, z talentów politycznych, zręczności i doświadczenia, Enwer-Bej z męstwa, odwagi, bohaterstwa, energii, zapału.

Europa wpatrzona w ładną, łagodną i trochę rozmarzoną twarz Enwer-Beja niezupełnie może zrozumieć skąd się wziął jedyny współczesny bohater w społeczeństwie, o którym pewna rozumna i dowcipna dama wschodniego świata wydała wyrok, że musi zginąć dlatego, ponieważ jego kobiety tylko milczą i pieszczą, zamiast zagrzewać do czynu, pomagać, pracować i koić. Nie może zrozumieć dlatego, że nie wie o jego polskim pochodzeniu i nic nie wie o tem, czem u nas były, czem u nas i dziś jeszcze mogłyby być kobiety. Przyszłość świata należy do kobiet. W krajach, gdzie je dopuszczono do pełni praw obywatelskich, nie miano nigdy powodu tego żałować. Obecnie w Anglii toczy się wielka walka o prawa kobiece: najwybitniejsi członkowie gabinetu Lloyd Georg i Grey pojmują konieczność uznania olbrzymiej sfery politycznej i publicznej działalności kobiet przez rozszerzenie praw wyborczych na płeć niewieścią, a deputowany Lyttleton, który wypowiedział w tych dniach świetną mowę w izbie gmin w obronie wniosku o przyznanie głosu kobietom, wskazał na to, że już dotychczas komisje rządowe opracowywujące ustawy o pomocy dla ubogich, o opiece nad upośledzonymi umysłowo, o małżeństwie i rozwodzie nie mogły się obejść bez czynnej pomocy kobiet, i że ta pomoc jest niezbędną potrzebą izbie gmin przy wszystkich dyskusjach o sprawie robotniczej, o dniu pracy, o płacy minimalnej, o zdrowiu publicznem i gospodarce ekonomicznej, w których poważnemu współczesnemu państwu nie wolno nie liczyć się z opinią kobiecego świata. „Siła fizyczna jest niewątpliwie koniecznym czynnikiem w rządzeniu, nie jest jednak ani jedynym ani najważniejszym. Dobry rząd daje w sprawach państwa równy głos zarówno słabemu jak i mocnemu — słabość właśnie wymagać ma prawo, aby wysłuchiawano jej wezwań o opiekę. Nie ustanowicie trwałego porządku, jeżeli nie postaracie się zaspokoić, wszelkimi środkami, jakimi możecie rozporządzać, aspiracji każdego czynnika społecznego. Niezmierną publiczną klęskę ściągają na kraj ci politycy, którzy czynnik społeczny z natury pokojowy, z natury rzeczy łagodny, z natury rzeczy przyjazny nam wszystkim, spędzają w szeregu niebezpiecznych sił rozstroju, jakich jest tyle w dniach dzisiejszych“.

Wrogowie równouprawnienia kobiet, których imieniem przemawiał Harcourt, operowali słynną opinią Herberta Spencera w liście do Johna Stuarta Milla o różnicach ilościowych i jakościowych zachodzących pomiędzy mózgiem kobiety i mózgiem mężczyzny i o braku w umysłowości kobiecej tych intelektualnych i moralnych uzdolnień, które mają za zakres działania politykę. Polityka dzisiejsza jest coprawda tak bezrozumna i tak z gruntu niemoralna, że pewna zmiana

zasadnicza mogłaby jej wyjść tylko na dobre. Obawy sir Edwarda Clarke, że kobiety wybierać będą posłów mniej wykształconych, a za to namiętniejszych i sentymentalniejszych, nie sprawdziły się ani w Finlandji ani w Norwegji, ani w Ameryce ani w Australji. Ale natomiast nawet gorący zwolennik równouprawnienia, Lloyd George, na konferencji odbytej tymi dniami z przywódczyniami ruchu, miał pewien moment rozgoryczenia. Panna Kenney zarzucała kołegom Lloyd Georgea obłudę; kanclerz zapewnił, że to zarzut krzywdzący, „Pańskim obowiązkiem jest dowieść nam tego“ zawołała miss Kenney. „Czyż doprawdy?“ odpowiedział kanclerz, marszcząc brwi. „Nie sądzę, aby to co pani mówi odpowiadało poglądom kobiet na sprawiedliwość i lojalność, bo byłby to najsilniejszy argument ze wszystkich, jakie przeciw równouprawnieniu kobiet dały się słyszeć.“

Wiemy o tem niestety z doświadczeń naszego życia sentymentalnego, że kobiety tak często bywają niesprawiedliwe i nielojalne, że doprawdy byłby to powód do niepokoju, gdyby nie to, że niesprawiedliwość i nielojalność, po za Anglją, jest na porządku dziennym w polityce uprawianej przez... mężczyzn. Niestety—polityka męska nie jest wolna i od czysto kobiecej zdawałoby się wady organicznej—histerji. Wszystko to, co się u nas dzieje naprzykład w ostatnich miesiącach przepojone jest przedewszystkiem nastrojem histerycznym. Nie co innego tylko ten nastrój sprawił, że Towarzystwo Kultury Polskiej przeszło przez burzę, która zachwiała jego filarami i zmusiła do ustąpienia jednego z najpiękniejszych duchowo ludzi, jakich ma Polska współczesna dlatego tylko, że chciał, aby nie mogło być żadnej wątpliwości, że kultura w Polsce może być tylko polską. Zapewne, histerja niewieścia odegrała w całej tej burzy niemałą rolę, ale trzeba przyznać, że histerja mężczyzn górowała pod każdym względem. Nie kobiety zaczęły sobie nawzajem wrywać włosy z głowy, ale mężczyźni wymierzili sobie policzki dlatego, że się różnili w zdaniu i dążeniach. Nie kobiece artykuły tchnęły największą animozją, najcynicznijszem lekceważeniem zasług życia spędzonego na nauce i pracy społecznej

i mającego wszystkie tytuły do czci i wdzięczności nie tylko swojego narodu lecz i wszystkich, którzy na ziemi tego narodu i z nim razem pracować chcieli,—ale męskie pióro podjęło się tego zadania. Nie mówiąc już o istocie walki, sama jej forma przejmuje głębokim smutkiem.

Wszystko oczywiście jest względne: wszystko jest i słuszne i niesłuszne, jak mówi mędrzec Maeterlincka. Ale najbardziej niepokojącym jest to, że zatracamy w sobie delikatność poczucia tego, co jest ładne, dostojne, szlachetne. Zaczynamy w sobie wytwarzać zamięłowanie do brzydoty. Coraz więcej jest u nas ludzi, którzy przypominają owego kacyka, co to prędzej był gotów oddać życie niż swój łuk i kołczan, ale kiedy spotkał podróżnika, który w swojej podręcznej aptece miał pudełko jodoformu, przestał panować nad sobą: za szczyptę proszku o złotej barwie i upajającym zapachu, kacyk oddał nie tylko swój łuk i kołczan, ale także całą swoją chatę z żonami. Odór proszków politycznych zoologicznego nacjonalizmu gra u nas często rolę takiego jodoformu, któremu w ofierze nasi kacykowie przyjezdni składają dobro nie tylko własne. Ta atmosfera zdziczenia pojęć jest jedną z największych krzywd, jakie nam wyrządził wrogi zewnętrzny układ naszej doli. Tembardziej jednak kultura polska, w której piękno, dostojność, szlachetność formy od niepamiętnych czasów była jedną z cech tak bijących w oczy, że poeta angielski z siedemnastego wieku, chcąc nam dokuczyć, mówił, że „polak duszę swoją chowa w szafie od sukien,“ ma obowiązek czuwać nad tem, aby w najcięższych chwilach, w najtrudniejszych walkach, wobec najordynarniejszego, najbardziej aroganckiego wroga, zachować zawsze rycerskość, godność i ładny kształt swojego gestu.

OD REDAKCJI.

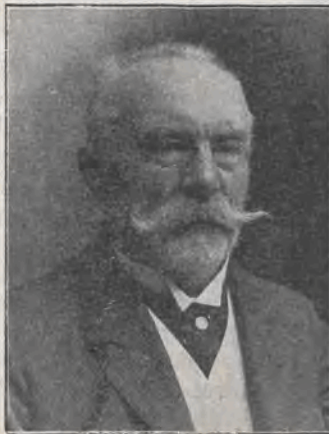
Konfiskata, nałożona w czerwcu r. z. na Nr. 22 *Złotego Rogu* za umieszczenie wiersza Juliuszałowackiego p. t. „Ofiarowanie“, z rozporządzenia urzędu prokuratorskiego w tych dniach została zniesiona. Sprawę karną, wszczętą wówczas z tego tytułu przeciwko redaktorowi, p. Walentemu Zielińskiemu, obecnie umorzono.

Władysław Bełza.

(Wspomnienie pośmiertne).

Zmarł we Lwowie w 66 roku życia zasłużony poeta Władysław Bełza, którego wiersze, pisane przeważnie dla wieku młodego, są niezwykle cenną perłą w dziedzinie naszej pedagogji.

Wytrawny znawca duszy dziecka, umiał Bełza ożywić swe poezje tą nutą, która zjednywała mu wielką popularność wśród szeregu młodocianych i wdzięcznych mu przyjaciół-czytelników a także szczerze uzna-



S. p. Władysław Bełza,
poeta, ulubieniec młodocianych czytelników.

nie rodziców, wychowawców i opiekunów.

Któż nie zna na prz. wierszyka Bełzy „Kto ty jesteś?... Polak mały“. A takich równie miłych i o takiejże wartości wierszyków, naliczyćby można dużo. Wiele z tych poezji tłumaczono nawet na obce języki.

Zaszczytna jest również działalność społeczna poety. W 1872 r. z jego inicjatywy i dzięki jego staraniom powstał polski teatr w Poznaniu, inicjator jednak zostaje przez rząd pruski wydany z granic państwa, jako uciążliwy „cudzoziemiec“.

We Lwowie przyczynia się Bełza do powstania dwóch stowarzyszeń: „Koła artystyczno-literackiego“ i „Towarzystwa literackiego im. Adama Mickiewicza“ — a pracując od r. 1882 w zakładzie im. Ossolińskich, dzięki swym zdolnościom, zamiłowaniu i pracy, zostaje w końcu naczelnikiem wydawnictw ludowych tegoż zakładu.

Nie tylko jako pisarz—pedagog znacznej miary, lecz i jako zasłużony obywatel kraju i człowiek nieposzlakowanego charakteru, zasłużył sobie Bełza na niegasnącą pamięć społeczeństwa.

Z Tow. Z. S. P. — Utagawa Wakana.

Otwarto „wystawę pięciu“, wśród których poczesne miejsce zajęła młoda japońska artystka p. Utagawa Wakana, obwołująca domowy skarbeczyk swej artystycznej spuścizny po pradiadach znakomitych, zajmujących w historii japońskiego malarstwa wybitne stanowisko.

Przywiezione z kraju wschodzącego słońca i kwitnącej wiśni stare oryginalne drzeworyty i własne prace młodej malarki wydają się profanom sztuki jakimiś kabalarskimi znakami nieznanego świata barw i form.

Malarz japoński uśmiechający się na widok fresków Li-

onarda, dziwiący się Rubensowi, iż twory europejskiej sztuki polegają na wszechstronnem studjowaniu natury modela, malarz japoński nie znający praw perspektywy, brylowatości jest czemś dla nas, na humanistycznej kulturze wychowanych trudnym do ogarnięcia, trudnym do szczerzego nieklamane go entuzjazmu.

Miłośnicy i prawdziwi znawcy japońskiej sztuki, u nas artyści malarze Jasiński i Dębicki szli zmuśnioną drogą studjów i badań, zanim przyswoić sobie mogli sztukę Wschodu. By sztukę japońską pojąć, trzeba urobić w sobie odrębną psychofizykę, trzeba przedewszystkiem wykształcić oko i nadać mu zalety mikroskopu doskonałej firmy Zeissa, gdyż inaczej owo piękno nieznanne, zawieszane na pyłku, niedostrzegalne jest dla gruboskórnego Europejczyka niewidzącego puchu skrzydeł kolibrów, rajskich płaków, włókien egzotycznych storczyków, irysów.

Wystawa p. Utagawy Wakany, ma wysoce pedagogiczne znaczenie. Zawiera ona rzadkie dziś w Europie, oryginalne zażytki japońskiej niezrównanej sztuki drzeworytniczej i najprzecudniejsze, przypominające tony wypełzłych brokatów gebelinów, rysunki na żółtym jedwabiu współczesnej japońskiej sztuki. Prace jej są dostępne dla oka przeciętnego Europejczyka, gdyż p. Utagawa wyeliminowała wszelką zawiłą złożoność rysunku i barwy i daje silne jednolite w harmonji kompozycje, będące nie odzwierciedleniem, lecz dekoratywnym wysoce stylizowanym przypomnieniem natury.

Wystawa egzotyczna zasługuje na dokładne zapoznanie się z nią z zapalem bodaj w milionowej części równym tej pilności i pracowitości z jaką Japończycy śledzą naszą kulturę.

[M. Dienstl.]



Utagawa Wakana. (T. Z. S. P.) Młode psy japońskie.



TEATR POLSKI.

Dyrekcja teatru wybrała na inauguracyjne przedstawienie poemat filozoficzny Z. Krasińskiego, by wykazać żę rzeszy artystycznej, przyswieca myśl dokonywania czynów artystycznych. Nasuwające się nie do pokonania trudności zachęciły do pracy, a rezultat artystyczny pasował tę najmłodszą scenę w Polsce, na prawowitego wyznawcę hasel najgórnějších.

Z całą stanowczością powiedzieć musimy, iż po raz pierwszy w Warszawie widzieliśmy obrazy sceniczne dające pełnię zadowolenia artystycznego, iż po raz pierwszy na scenę teatru polskiego wstąpił artysta malarz i rzeźbiarz by ucieleścić poetyczną wizję Heljogabalowego pałacu i katakumb. Po raz pierwszy syciły się oczy nasze barwą mieniających się złotem i purpurą szat i muzyką korynckiej głowicy.

Utworowi Krasińskiego nadano neoklasyczną szatę zewnętrzną, odtworzono zjawy cezarowe w barokizującym stylu, czasów wieszczą z trójcy naszego Parnasu.

Przedstawienie „IrydjoŃa“ mimo, iż problemu inscenizacyjnego nie rozwiązało w sposób zwycięski, stało się dla warszawskiej publiczności objawie-



Utagawa Wakana (Tow. Z. S. P.) Po deszczu.

niem wysokiego poziomu teatralnej kultury, któremu niedorównywały wysiłki odtworzenia arcydzieł poezji polskiej w innych warszawskich teatrach.

Interpretacja artystyczna utworu była doskonała. P. Węgrzyn (jun.) porwał publiczność od pierwszego momentu ukazania się na scenie w tytułowej roli. Współdziałali tak znakomitych artystów jak pp. Sosnowski, Szobert, Weychert i artystek jak pp. Wysocka, Duninówna stworzył tak idealny zespół, iż słowa Krasieńskiego nie utraciły nic ze swego majestatu a gest z czystości linii. Przepyszne stylowe dekoracje budowane i modelowane i niezwykle starannie opracowane kostjumy sprawiły, iż bohaterem głównym wieczoru był p. Karol Frycz i dzielny jego pomocnik Stanisław Drabik. Świetność i różnorodność wrażeń malarskich potęgą swej siły sprawić musiały chwilowe odwrócenie uwagi od wypowiadającego myśl i ducha poety słowa.

Przedstawienie inauguracyjne zjednało twórcy oraz inicjatorowi teatru a reżyserowi przedstawienia, szczerze uznanie i kwiaty. (m. d.)

TEATR ROZMAITOŚCI.

„*Jej Córka*“ kom. F. Duquesnela i A. Bardego okazała się nudnym oleodrukiem, przedsta-



Teatr Polski.

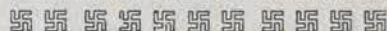
Końcowa scena z „Irydiona“.

wiającym solon kokoty z czasów Ohnetowskich. Dziwimy się, iż tę właśnie sztukę wybrano z francuskiego repertuaru i zapłacono za nią tantjema. Możliwe, iż znakomita gra p. Kamińskiego, który w tej sztuce znalazł popisową rolę dla siebie ściągnie tłumy publiczności. Powodzenia kasowego życzymy „artystyczny sukces“ osiągnięto zbyt łatwo, by się o nim rozwodzić. P. Fedorowiczowa, p. Szyllinżanka, Żółkowska, Sulima, p. Wojdałowicz, Wileczyński i Brydziński przyzwyczajeni do grywania sztucznych tego typu, pomysłowości i sumieniem opracowaniem gry sprawili, iż część widzów poczęła ziewać dopiero przy końcu 2-go aktu w czasie, gdy poważne matrony i babki płakały z wzruszenia nad smutnymi losami Rajmundy i margrabiego de Croix Fontaine. (m. d.)



Karol Frycz.

(Kierownik działu arty. tycz.-dekoracyjnego.)



ra przecież daje możliwość obserwowania najlepszych żywych wzorów gracji, harmonji i wdzięku.

W tym tygodniu odwiedziła Warszawę znana dobrze gwiazda naszego baletu, p. Anna Gaszewska. Przez kilka lat zbierała uroczą naszą primabalerina laury zagranicą, w Ameryce i ostatnio w Londynie.

Zniewolona do ustawicznej i systematycznej pracy na scenach zagranicznych, p. Gaszewska wykazała znaczny postęp w technice tanecznej, zyskała wiele na elastyczności ruchów i wprawie gry mimicznej.

Zawitała do Warszawy tylko na jedno przedstawienie w „Eunice“ w Teatrze Wielkim, żeby znów do *ciepłych krajów* odfrunąć.

Występ p. Gaszewskiej.

Mineły już złote czasy baletu warszawskiego, publiczność bowiem mniej dziś zajmują podpisy tego rodzaju. Za granicą jednak, gdzie ludzie nie tylko są weselsi, lecz mają więcej zamiłowania do tańca i wszelkich sportów, gdzie taniec nie tylko jest uważany jako miła rozrywka, lecz i jako środek pedagogiczny do kształcenia i zachowania harmonji ruchów, nie straciły podpisy baletowe swego znaczenia na scenie, któ-



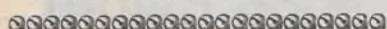
Utawaga Wakana.

(Zbiorowa wystawa prac w Tow. Z. S. P.)



Anna Gaszewska.

(Gościnnie występ w Teatrze Wielkim).



Odczyt Aleksandra Kraushara.

W myśl zapowiedzi Towarzystwa Opieki nad zabytkami, które postanowiło urządzać w końcu każdego miesiąca w siedzibie swej w domu Baryczków na Starem Mieście—odezwały, poświęcone dziejom dawnej Warszawy, stanął w dniu 31 stycznia na mównicy wielce zasłużony nasz historyk, mecenas Aleksander Kraushar, i wygłosił, wobec przepelnionej sali, niezwykle zajmujący odczyt na temat „Życie domowe mieszczan warszawskich w ubiegłych wiekach“.

Z rzadką znajomością przedmiotu, którą nie każdy historyk poszczycić się może, wyjaśnił szanowny prelegent, najpierw, charakterystyczne cechy życia stanów uprzywilejowanych w wiekach ubiegłych. Dotknął więc z właściwym sobie talentem kwestji budownictwa, strojów i zwyczajów towarzyskich. W tem wszystkim jednak, jak wogóle w całym życiu warstw uprzywilejowanych, widać wyraźny ciągły wpływ zachodu a nie raz nawet wprost przejawia się tam niewolnicze naśladowanie obcych wzorów, przeciwnie—gdy chodzi o mieszczaństwo, obcych tych naleciałości trudno się doszukać, architektura ma tu swój właściwy styl, nadający swojski specjalny charakter wszystkim starym dzielnicom miast polskich. Dalej, skreślił prelegent tryb życia codziennego zamożniejszego naszego mieszczań-

stwa, mówił więc bardzo ciekawie o rodach mieszczańskich Fukierów, Baryczków i innych, o wychowaniu młodzieży mieszczańskiej, o urządzeniach miejskich i higienie, która dopiero za Stanisława Augusta, dzięki komisjom dobrego porządku, w jakie takie karby została ujęta.

Więcej nam takich i tak wygłoszonych odczytów o tych drogich sercom polskim pamiątkach przeszłości, które przecież składają się w dużej mierze również i na dzisiejszą naszą kulturę. To co jest bierze początek z tego co było i tworzy znów dalsze życie—oto niezmienna zasada bytu.

Zasłużonego prelegenta na-



Aleksander Kraushar,
znakomity historyk.

grodzono za świetny odczyt długo nie milknącymi oklaskami.

Scriba.

600 rocznica urodzin Boccaccia.

W ostatnich dniach stycznia przypadła doniosła rocznica nie tylko dla Włoch—lecz wogóle dla świata cywilizowanego, minęło bowiem 600 lat od dnia, gdy wielki włoski poeta, Giovanni Boccaccio, ujrzał światło dzienne w Paryżu.

Boccaccio wywodził się ze stanu kupieckiego i sam początkowo pracował jako kupiec. Wkrótce jednak zamiłowanie do nauki i sztuki odzywa się w nim silniej i wtedy poświęca się już studjom filozoficznym a w pierwszym rzędzie—prawu ka-

nonicznemu. Studjuje również klasyków, poczem sam oddaje się literaturze i poezji. Do pierwszych jego dzieł dodawała mu natchnienia miłość, którą żywił względem księżniczki Neapolu—Marji. Zasłużony wielce jako humanista—duży wpływ wywarł na współczesnych, jako poeta zaś—wpływ swój przekazał literaturze.

Zmarł 21 grudnia 1375 r. w Cevaldo pod Florencją.

Jubileusz ks. prałata Godlewskiego.

Ks. prałat Marcełi Godlewski obchodził w ubiegłą niedzielę 25-lecie kapłaństwa, uroczystość ta nie odbyła się jednak w ramach ściśle kościelnych, lecz ze względu na zasługi jubilata na polu pracy społecznej i narodowej, miała ramy szersze—była uroczystością dnia, w której wzięły udział szerokie warstwy naszego społeczeństwa.

Ks. Godlewski urodził się w r. 1865 w Turczynie, kształcił się w Łomży, seminarjum duchowne ukończył w Sejnach a wyższe kursy teologiczne—za granicą. Świecenia kapłańskie otrzymał w r. 1888. W r. 1897 mianowany był profesorem seminarjum metropolitalnego w Warszawie—obecnie jest rektorem kościoła św. Marcina (po Augustjańskiego).

Działalność społeczną rozpoczął ks. Godlewski w Łodzi, gdzie wielkie zasługi położył w pracy nad umoralnieniem i oświatą rzesz robotniczych.



Giovanni Boccaccio.
(W 600-ną rocznicę urodzin.)

Po przeniesieniu się do Warszawy nie ustaje w pracy; zakłada Stow. robotników chrześcijańskich, organizując zarazem kilkadziesiąt jego kół na prowincji, — dalej idą założone przez niego instytucje, jak: Tow. pożyczkowo-oszczędnościowe robotników, Stow. sług katolickich, Tow. schroniska dzieci Marji, Tow. spożywcze „Wspólna praca“, Kasa oszczędności dla dzieci, Bractwo matek chrześcijańskich, Tow. oficjalistów



Ks. prałat Marcell Godlewski.
(25-lecie pracy społecznej.)

handlowych, fabryka kapeluszy (założona i prowadzona przez robotników), skład skór (hurtownia) szewców chrześcijańskich, Stow. szewców i Tow. budowy domów robotniczych. To ostatnie zamknięto i zlikwidowano z rozporządzenia władzy.

Prócz tego znana jest działalność ks. Godlewskiego na polu piśmiennictwa.

Obchód jubileuszowy, w którym wzięły udział liczne instytucje, stowarzyszenia oraz delegacje z wielu dzielnic kraju, miał nastrój nie tylko serdeczny, lecz i podniosły, ze względu na zasługi, które jubilat dla społeczeństwa położył.

Aeroplanem przez Pireneje i Alpy.

W ostatnich czasach kronika lotnictwa wciąż notuje nowe tryumfy dziedziny awiacji. Przed kilkunastoma dniami lotnik Bider przeleciał Pireneje z Pau do Madrytu, szybując około pięciuset wiorst nad szczytami i przepaściami. Po nim znów — lotnik Bielovucić w dniu 25 stycznia przebył Alpy od Brigue w Szwajcarii do Domodossoli we

Włoszech. Śmiały lotnik odbył tę drogę na aeroplanie Henriot-Gnome z motorem o sile 80 koni parowych. Podczas lotu osiągnął wysokość 2500 metrów i zawrotną szybkość 130 kilometrów na godzinę. Termometr w górnych sferach wskazywał 25 stopni mrozu!

Zaiste, potrzeba nie tylko odwagi ale i wytrzymałości, żeby odbyć taką podróż.

Dzielnego lotnika, po wylądowaniu, entuzjastycznie przyjęła ludność a serdeczne życzenia złożył deputowany Falcioni, przedstawiciel rządu włoskiego.

Miecz i dyplomacja.

(Porażki dyplomacji europejskiej. Niebezpieczny węzeł. Traktat rosyjsko-mongolski. Sprawa wywłaszczenia w parlamencie niemieckim).

Dawno już dyplomacja nie poniosła tak fatalnych porażek, jak w ostatnich czasach. Zazwyczaj mówi się, że najpierwszem, najważniejszym jej zadaniem jest: przewidywać przyszłość i odpowiednio kierować ją ku wytkniętym z góry celom. Wypełniając to zadanie, dyplomacja „rządzi losami świata”. Dyplomacja nie tylko nie przewiduje dalszej przyszłości, ale nawet najbliższej przewidzieć nie jest w stanie. Gorzej nawet: — współczesna dyplomacja europejska nie wie nawet, co się pod jej boki przygotowuje i daje się zaskoczyć wypadkom.

Przed wybuchem wojny na Bałkanach dyplomacja europejska do ostatniej chwili nie wiedziała, a może wiedzieć nie chciała o przygotowujących się wypadkach. Wojna była niespo-



Arcyksiążę Rainer,
nestor domu Habsburgów, nieraz odgrywający ważną rolę w rządach państwem — zmarł w Wiedniu w 86 roku życia.

dzianką, a raczej początkiem szeregu niespodzianek, wprawiających dyplomację w zdumienie, w zakłopotanie, wreszcie w coś najbardziej kompromitującego, bo w nieświadomość, co robić, jakiego szukać wyjścia z nagromadzonych powikłań.

Niespodzianką były zwycięstwa związku bałkańskiego nad Turcją, przekreślające za jednym zamachem tak troskliwie przez dyplomację pielęgnowane „status quo”. By ratować nadwyrężoną swą powagę, dyplomacja zarządza w Londynie rokowania pokojowe, nie przewidując, że ten rząd turecki, który układa się o pokój, upaść może za jednym podmuchem pierwszego lepszego śmiałka. Turecki przewrót — to dalsza niespodzianka, wielce źle świad-



Lotnik Bielovucić, który przeleciał przez Alpy z Szwajcarii do Włoch.

cząca o zrzeczności dyplomacji. A w końcu, zanim w myśl dyplomacji nowy rząd turecki zdążył dać odpowiedź, zerwał rokowania, zerwał zawieszenie broni i uciekł się do najsilniejszych argumentów, do armat i karabinów. Dyplomacja nic z tego nie przewidziała.

Położenie wikła się coraz bardziej. Węzeł sprzecznych interesów coraz bardziej się gmatwa. Narody Europy przejmują najgroźniejszą z obaw, że bez-



Dr. Alfonso Costa,
nowy prezes ministrów w Portugalji.

silność dyplomacji doprowadzi do tego, iż ów węzeł mieczem trzeba będzie rozciąć.

Sznurki tego węzła opłatały nietylko Europe; do Azji one sięgnęły. Z okazji przybycia w tych dniach poselstwa mongolskiego nad Nową, wiadomym publicznie stał się traktat zawarty trzy miesiące temu między Rosją a rządem narodowym mongolskim, który ogłosił oderwanie Mongolji od Chin. W traktacie tym Rosja uznaje samodzielność Mongolji, przyznaje jej prawo utrzymania własnego wojska, przyrzeka jej, w razie potrzeby, obronę wobec Chin. Poselstwo mongolskie, przybyłe do Petersburga, ma być widocznym wyrazem tego traktatu. w ciszy kancelaryjnej zawartego.

Układ rosyjsko-mongolski rozbrzmiał w Chinach echem ogólnego gniewu. Ale gniew bez siły nie wywoła porażenia. A Chiny zawsze były bezsilne wobec Europy, dotychczas mimo podjętych reform, nie wzmocniły się jeszcze tak dalece, ażeby



Mongolskie poselstwo w Petersburgu.

mogły wolę swą przeciwstawić woli swego potężnego sąsiada.

Ostatnio, opinię świata cywilizowanego poruszyły znów rozprawy w parlamencie niemieckim nad wywłaszczeniem polaków. Parlament ten ogromną większością przyznał, że „dopuszczenie wywłaszczenia pol-

dyscie tę politykę wymyślili i rozpoczęli“.

Ani rozprawy nad wywłaszczeniem, ani potępienie przez parlament kanclerza, Bethmana-Hollwega, nie mają znaczenia praktycznego. Kanclerz oświadczył, że sprawa wykracza z pod kompetencji parlamentu, gdyż jest sprawą sejmu pruskiego. A w sejmie pruskim p. Bethmann-Hollweg jest silny.

Ale ta siła sejm i kanclerza, zwrócona przeciw polakom, osłabia Prusy. Bo jak słusznie powiedział złotousty Skarga: „Straszną chorobą dla państw są prawa złe i niesprawiedliwe“.

h. m.



Talaat-bej, jeden z głównych przywódców młodoturków, współorganizator ostatniego zamachu stanu w Konstantynopolu.

skich właścicieli ziemskich przez kanclerza nie odpowiada zapamiętaniu tegoż parlamentu“.

Uchwalając tę opinię, parlament w sposób łagodny, lecz stanowczy potępił politykę antypolską rządu pruskiego. Silnie jeszcze potępił ją przy tej okazji posłowie polscy, Morawski i Trąpczyński, oraz socjalistyczny—Wendel. Słowa jego strasznie brzmiały dla pruskich junkrów: „Przyjdzie czas, że my wywłaszczać będziemy dzisiejszych wywłaszczycieli. Wówczas przeklniecie chwilę; kie-

Czytelnicy, którzy nabędą numer bieżący w naszej administracji lub w kolportażu, będą mogli nabyć w cenie niższej do 15 kop. nasz numer noworoczny wraz z portretem ks. Józefa Poniatowskiego. Numer ten kosztuje kop. 30.



Janek Jedwabny, jedyny który ocalał podczas katastrofy zaważenia się ścianą gmachu Biblioteki Publicznej. (Ruiny gmachu—patrz № 5 „Złotego Rogu“).



Femina

Szczegóły tualet wieczorowych i rautowych.

Zaczynamy ten przegląd od przedmiotu najściślej z tuale-
tą wieczorową i rautową związa-
nego, to jest od pończoch. Śmia-
ło rzec można, że w Paryżu
nie noszą pończoch wcale — lub
tak jakby wcale...

Jedwabna pajęczka gaza kolo-
ru ciała, najszczelniej do stóp
przylegająca (bas nuage) — daje
zupełne złudzenie swej nieobec-
ności.

Trzewik a raczej pantofelek
bajecznie dyskretny, zaznacza
swoją obecność w zdumiewają-
cy sposób. Jest to wążutki
zrębek atlasu, materji lub bro-
katu okalający stopę — na nim
umieszczono olbrzymią klamrę
lub kokardę — nie na podbiciu
jak dawniej, ale na palcach no-
gi — tak, że trzewiczka widać
tylko sam koniuszek. Dodać
należy, że owe wydłużone pan-
tofelki, noszone w roku zeszłym,
ustąpiły miejsca fasonowi ame-
rykańskiemu, ściśle do długości
stopy zastosowanemu, obecnie
stopy przy krótkim fasonie i ol-
brzymiej ozdobie — nie widać
prawie wcale. Za to obcasy
olbrzymie, niebawalej dotąd
wysokości, całe nabite świeci-
dłami. Jak w takim obuciu
można chodzić i tańczyć... jest
to już tajemnicą tych, co je
noszą... Sztuki tej trzeba się
uczyć i nauczyć — bo bez niej
niema ani t. zw. *grand chic* —
ani t. zw. *haute elegance*.

Przechodzimy do *dessous* —
czyli ubrania spodniego.

A więc: podwiązki, przepięk-
ne i przewytworne, ze wstążek
lub materji obciążanej na gu-

mie i zakończonej kwiatami
z tejże materji wyrabianemi —
lub co jeszcze do większego
należy szyku, guma podwiązki
jest cała naszyta świecidłami



Suknia wieczorowa i rautowa.

(imitacja brylantów) z takiemiż
dwoma wisiorkami, migocące-
mi się z pod wysoko ujętego
trenu tualety... A podwiązki są
niezbędne — bo obecny „*Grand
chic*“ i obecna „*Haute élan-
ce*“, do tualet balowych nie no-
si *gorsetu*!... Precz z nim,
w kął *gorsetu*!... *Venus modern
style*, chełpi się ze swych natu-
ralnych kształtów, o linjach
gibkich *à la Boticelli* — niczem
nieskrępowanych, nieznoszą-
cych żadnego przymusu. Owe
gorsety busc droit, ujmujące
figurę w linję prostą z przodu,
a przez to samo maskujące
biust i żołądek — należą już w
strojach balowych do przeszło-
ści — do zacoiania. Dziś, wolno
być trochę mniej zgrabną, tro-
chę grubszą — ale nie wolno na
wieczorze czy raucie być w *gor-
secie*, który pozostawiono ma-
mom kanapowym. Ideałem obec-
nego szyku, jest rzeźba — posąg
osłonięty przezroczą draperją,
a wszak posągi *gorsetów* nie
noszą.

A spódnice?... „*Grand chic*“
ich nie nosi wcale, mniejszy
chic nosi jedną t. zw. „*Jupon
nuage*“. Jest to taka letnia ma-
ła chmureczka, na którą nikt
nie zwraca uwagi, wijąca się
szybko, nikło, koło postaci, a
czyniąca zadosyć względem przy-
zwoitości.

Całość tualety wieczorowej
i rautowej *modern style*, niby tak
prostej, a jednak tak bajecznie
skomplikowanej, polega właśnie
na tych przezroczeniach, na tych
optycznych złudzeniach, na tem
czemś, trudnem do opisania,

bez czego niema wielkiego szyku i wielkiej elegancji. Dekolt może być mniejszy lub większy—ale zawsze bardzo głęboki, stanik a raczej draperja, może nie mieć wcale rękawów lub bardzo kruciuchne, wszystko w takim stroju musi się mienić tysiącem blasków, każda kobieta postać od czubka głowy do obcasów lśni się krociami ogni—nóżki widać aż do podwiązek, kształty na pełnej swobodzie przeginają się wdzięcznie i estetycznie... Zapewne, że nie wszystkie kobiety zgodzą



Suknia wieczorowa i rautowa.

się na ten szal „Mody...“ to też nie wszystkie są stworzone do... „Wielkiego Szyku“.

Nie wszystkim również daniem jest posiadać owe przepiękne ale bajecznie kosztowne płaszcze wieczorowe z cudnych materji i drogocennych futer, bez których również niema *wysokiej elegancji*.

Jeszcze słowo o rękawiczkach. Po różnych za i przeciw—zgodzono się wreszcie na noszenie ich na wieczorach, rautach, koncertach, w teatrach i t. p., ale muszą być bardzo obszerne, bardzo wygodne i bardzo długie.

Marcète.



Rag, najnowszy i najmodniejszy taniec.

Jeszcze przed pół rokiem mało kto wiedział, co właściwie oznacza słowo *Rag*. Dziś w wielkich stolicach świata, taniec noszący tę nazwę wszedł na repertuar wszystkich zabaw, bądź to publicznych, bądź prywatnych, zawdzięczając wielką swą popularność prześlicznej, arcyharmonijnej muzyce, służącej mu za akompanjament. Z salonów melodia ta przeszła na ulicę, nuca ją przechodnie w rozlicznych odmianach rytmu, wpływających ze zmian wykonania tego tańca, będącego dziś podstawą wszystkich pokrewnych z nim tańców *modern-style*.

Tu nasuwa się jedna uwaga, wpływająca z licznych protestów, jakie te nowe tańce wywołały ze strony osób dbających o poprawny ton i dobre manjery. Osoby te znajdują, że w lepszym towarzystwie „*nic takiego się nie tańczy*“. Otóż w istocie tak nie jest, *nowe tańce* posiadają już dziś prawo *salonowego* obywatelstwa, chodzi tylko o to, w jaki sposób i w jakim stylu są tańczone. Każdy wogóle taniec może być wykonany wulgarnie i wykwintnie. *Boston, Tango, One Steep, Rag*, mogą nadawać się zupełną przyzwoitością i spokojem ruchów, do poważnego otoczenia tańczących osób, a mogą też przypominać ohydny taniec *Apaszów*.

Nigdy taniec nie był tak modnym, tak bardzo *modern* jak obecnie. Z salonowej rozrywki przerodził się w sport—pociągający na równi z *Polo, Tennis'em* lub *Golf'em*, ma on za sobą przewagę harmonji, idzie za rytmem muzycznym, wprowadza w ruch całą postać, daje obszerne pole popisu do wykazania wrodzonego wdzięku i zięczności. Dawno już taniec nie był w takim uważaniu jak teraz. Przypomina to czasy przed Wielką Rewolucją francuską, kiedy rodowe arystokratki łączyły taniec z każdym towarzyskiem zebraniem—w salonach, w parkach po wsiach i t. p.

Od owego czasu nastąpiły w tańcach gwałtowne zmiany. Po *Gawocie* i *Menuecie* zjawił

się t. zw. *Waschington-Post, Walc, Kadryl*, po nich *Boston, Two* i *One-Step*—aż wreszcie na *modern* tanecznym horyzoncie zabłysnęły *Tango, Maxixe* i... *Rag*. *Rag* polega na uproszczeniu *pas* czyli kroków *two* i *one-step*, zamiast jednego kroku z *one-step*—zamiast dwóch z *two-step*. *Rag* pozostaje na miejscu, przechylając cały korpus tancerzy raz na lewo, drugi raz na prawo z wysunięciem właściwej stopy i lekkim zgięciem kolan, następnie przechodzi się do szerokich poruszeń właściwych *Tango*. Jest to sztuka taneczna miła, pociągająca, ale trzeba się jej praktycznie nauczyć—bo sama teoria na nicby się nie zdała.

Chcąc sobie sztukę taneczną *modern-style* dokładnie przyswoić, trzeba być przedewszystkiem muzycznym. Obecne tańce wykluczają szablon—wymagając indywidualności. Tańczy się najściślej według rytmu muzyki, która jaknajsubtelniej wyczuta być musi, potrzebnym również jest wielki spokój—im gwałtowniejsze są poruszenia poszczególnym tańcem objęte, tem spokojniej wykonane być muszą.

Trzy niezbędne zasady rządzą obecnie tańcem. Rytm, takt i harmonja, ta ostatnia polega na dobraniu się tańczącej pary. Najlepszy tancerz z nieutalentowaną tancerką staje się nieszczęsną ofiarą—i na odwrót—taniec ze złym tancerzem jest nie tylko męczarnią ale i śmiesznością.

W wielkich stolicach repertuar balowy przedstawia się w ten sposób, że na 2 tańce „*Step*“ wypada jeden walc, a i ten tańczonym jest jako *Boston*. Sławny kiedyś a tak bardzo ładny walc wiedeński znalazł się obecnie na repertuarze zabaw ludowych, gdzie zatracił dawny szyk i elegancję. Zmiany te odczuła oczywiście i muzyka taneczna—bo na niezliczone ilości różnych *steps* świeżo skomponowanych, przypada zaledwie kilka nowych walców. Zaszła również zmiana w sposobie obejmowania tancerki. Elegancki tancerz nie kładzie całej ręki

na talji tancerki, lecz tylko dotyka się jej wielkim i drugim palcem, pozostawiając całą dłoń swobodną, jest to bardzo eleganckie i wytworne, lewa ręka nie wiąże ręki tancerki, zostawiając ją swobodną, przez co następujące od czasu do czasu spojenie rąk i palców wywołuje o wiele większe wrażenie — ale wymaga koniecznie rękawiczek, których lepsze towarzystwo nigdy do tańca nosić nie przedstawiało. Sposób obejmowania rękoma tancerza zmienił się również — prawa ręka tancerki leży wolno na lewej ręce tancerza, palce są splecione, lewa ręka damy nie spoczywa jak dawniej w ręku tancerza ale jest wyciągnięta na jego lewym obojczyku, co w tańczeniu szczególnie na lewo, tworzy bardzo ładną linię. *Boston* tańczony walcowo, ma ruch posuwisty — biegowy ale również pod muzykę podłożony, jest łatwiejszym w wykonaniu jak *Tango* wymagające specjalnego wystudjowania. *Rag* jest zestawieniem *One-Step* i *Tango* — zyskuje coraz większe powodzenie. Żadna melodia taneczna

nie jest obecnie tak popularna, jak pierwszy *Rag*: *Aleksander ragtime bond*. *Rag* jest razem z innymi tańcami *modern-styls*, importem amerykańskim, przeszedł przez Londyn do Paryża, Wiednia, Berlina, posiada najrozmaitsze odmiany *Mysterions Rag*, *Belle of the Barbers Rag*, *Botsfords Rag*, *Chatterbon Rag* i t. d.

Niewątpliwem jest, że *Rag* stanie się wkrótce najpopularniejszym tańcem salonowym, że zwalczy wszelkie do siebie uprzedzenia nawet najbardziej zacofanych, bo ma młodość i wdzięk za sobą.



NAJNOWSZE TAŃCE.

One Step. — Tango. — Maxixe. — Rag. — Stepper.

NOWINY I NOWINKI.

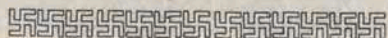
Panny w Chicago.

Wszystkie marzą o małżeństwie, ale o małżeństwie praktycznym *modern style*. Założyły one klub, którego członkinie obowiązują się nie rozpalać ognisk domowych bez posiadania 25,000 franków rocznego dochodu, bez których zdaniem ich nie można zajmować przyzwoitej w świecie pozycji. W zasadzie jest to bardzo rozsądne i zgadza się z nowoczesnymi poglądami i olbrzymimi wymaganiami Świata Nowego... w praktyce jednak nie zawsze da się zastosować, bo oto w ostatnich

czasach, trzy zawzięte działaczki klubu zerwały swoje zobowiązania, a idąc za głosem serca, zawarły małżeństwa dalekie od ustanowionej sumy dochodu. Tylko czas pokaże, czy im to wyjdzie na dobre w mieście miliardów.

O przepych w zabawach.

Cała Ameryka zna miliardera, pana *Pierpont-Morgan* — oraz jego 'wspólnika', pana *Stokszury*. Otóż żona tego ostatniego urządziła w Filadelfii w ubiegłym roku dwie wielkie za-



bawy których koszt wyniósł 400,000 franków... Zaczęto się oburzać — podniósł się gwałt, pastorzy z mównic zaczęli protestować przeciw tym niesłychanym zbytkom... Bo też istotnie 400,000 to trochę za wiele za miłe przepędzenie dwóch wieczorów... Jedyne, choć częściowym usprawiedliwieniem tego szaleństwa jest puszczenie w obieg tej sumy i zarobek, jaki z niej osiągnęło pracujące społeczeństwo — bo wszak zbytek bogaczy — jest chlebem powszednim biedaków.

Zabobony noworoczne.

Są między nimi bardzo miłe i wdzięczne jak, na przykład zjedzenie dwunastu jagód winogronowych, po jednej za każdym uderzeniem zegara, wygłaszającego północ, lub obrywanie dwunastu róż w ten sam sposób — to jest po jednej. Barwy róż są odnośne do osób. Białe, dla dziewic, różowe dla młodszych mężatek — ponsowe dla starszych mężatek... gorętszych... Rozdanie po 1 franku dwunastu biednym należy do zabobonów... filantropijnych, ale wymaga specjalnego w noc tę otoczenia. Są to wszystko zwyczaje praktykowane we Francji południowej. Artystki teatrów paryskich, inny sobie wynalazły sposób, mający sprowadzać całoroczne szczęście. Oto za uderzeniem północy — całują po kolei znajdujące się na służbie

strażaka. Szczęśliwy wybraniec jest oczywiście młody i ładny a wspomnienie to, osładza mu zapewne całoroczny nie zawsze wesoły żywot. Dla ścisłości wypada dodać — że każda artystka całuje strażaka tylko raz jeden nie zaś razy dwanaście — co zajęłoby za wiele czasu i mogłoby przyprowadzić szczęśliwca o nerwową apopleksję!..

Jak we Francji.

Sztuka kulinarna — jako też prawdziwa elegancja strojów kobiecych — pozostanie zawsze i wyłącznie francuską, są to tradycje wiekowe i nie ich zarzecz nie jest w stanie. Niemcy w ostatnich czasach próbują rywalizować z Francją w strojeniu i uplastycznianiu kształtów kobiecych, jako też w przyrządzaniu potraw niemieckich po francusku, ale im się to ani w jednym ani w drugim kierunku nie udaje. Elegantki berlińskie mogą być śliczne i urocze — gdy są ubrane w Paryżu, a kuchnia niemiecka może być wytworna gdy ją przyrządza kuchmistrz francuski — ale poza Francją — doskonałość w tych obu specjalnościach jest niemożliwą do osiągnięcia.

Sztuka pięknego obucia.

Jak we wszystkim a może więcej jak we wszystkim, zbytek przejawia się w obuciu naddobnych nówek kobiecych. Jak

świat światem i moda — modą, jeszcze nie podobnego nie widziano. Nastąpiło to wskutek sukien odkrywających całą stopę. Skorzystano z tego by nóżkę, która tak bardzo rzuca się w oczy ustroić, na równi z całą osobą. Oprócz więc pantofelków balowych doprowadzonych do minimalnych rozmiarów, na olbrzymich wysadzanych sztucznymi kamieniami obcasach — powstał trzewik wieczorowy. Jest on również atlasowy ale głębszy, sznurowany wstążką i zawiązany na kokardę. Cały rąbek trzewika jest naszyty kamieniami, jakoteż odznaczenie końca, trochę wydłużonego. Największą jednak trzewikową sensacją ostatniej chwili, jest obcas z porcelany saskiej. — Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe... Wygląda to ślicznie pod warunkiem by dopasowanym było do trzewiczka z atlasu jasnego w kolorze tejże porcelany. Drugą osobliwością jest obcas z porcelany białej z malowanymi na niej kwiatkami najładniej różami. Przy białym atlasowym pantofelku wygląda to bardzo elegancko. Rzecz prosta że takich obcasów nie nosi się na ulicę ani na spacer, jest to rzecz salonów — kobierców noi wielkiego zbytku, bo para takich porcelanowych obcasów wraz z trzewiczkami, kosztuje 200 do 250 franków to jest 70 do 80 rubli!...



1882 1896

„KRYSTAŁ”

NAFTA NAJWYŻSZEGO GATUNKU

w BLASZANKACH

TOWARZYSTWA Bⁿⁱ NOBEL WARSZAWA, NIECAŁA 4.

— TELEFONY 223-20; 223-40.

SPRÓBUJCIE!

Znakomitą pastę do obuwia

LUNA

a nie kupicie innej.

Popierajcie Przemysł Krajowy!

Kupujcie tylko najlepszą

Krajową pastę do obuwia

CHROMOLIN HEGNERA

Fabryka Ordynacka 9.

Kufry, Walizki, Torby, Nessesery, Galanterja skórzana

E. Unierzyski

Warszawa, Chmielna 3. Telefon 188-24.



ISTNIEJĄCY OD ROKU 1805

ZAKŁAD OGRODNICZY

C.ULRICH

W WARSZAWIE · CEGLANA 11

ZAWIADAMIA, ŻE WYSZEDŁ Z DRUKU

CENNIK NASION

NA ROK 1915

I NA ŻĄDANIE ROZSYŁANY JEST

BEZPŁATNIE





Oplakane warunki.

Łódź w żadnej porze roku nie może wykazać względnie znośnego stanu zdrowia ludności. Natomiast niema takiej pory roku, w którejby nie było „nasilenia“ tej lub innej epidemii. Obecnie np. szerzą się gwałtownie ospa i szkarlatyna, szczególnie zaś ta druga. Jak zaś dalece stała się ona groźna, dowodzi wymownie ten fakt, że szkoły zaczynają zamykać swe podwoje, ażeby tym sposobem zapobiedz groźnemu szerzeniu się strasznej choroby za pośrednictwem zakładów naukowych. Na szczególną uwagę zasługują środki przedsięwzięte przez zarząd szkoły handlowej kupiectwa łódzkiego, który rozesłał do opieki domowej uczniów następującą odezwę:

„Wobec panującej w mieście epidemii szkarlatyny i ujawnionych w szkole 8 wypadków choroby tej pomiędzy uczniami różnych klas, zarząd szkoły przyszedł do przekonania, że aczkolwiek epidemja nie tkwi w samym gmachu, to jednakże celem przecięcia szerzenia się jej, należy zawiesić wykłady w szkole do dnia 11 lutego włącznie“.

Zawiadamiając o powyższem postanowieniu, szkoła zaleca opiece domowej przestrzeganie do czasu wznowienia wykładów następujących przepisów sanitarnych:

- 1) Nie wolno uczniom wzajemnie się odwiedzać.
- 2) Nie należy uczniom pozwalać chodzić na zabawy, zebrania towarzyskie, zbiorowe lekcje, tańce i t. p., by wogóle unikali zetknięcia się z kolegami.
- 3) Nie należy pozwalać uczniom na pożyczanie sobie wzajemnie książek do czytania, podręczników, zeszytów i t. p.
- 4) O każdym wypadku zapadnięcia ucznia na szkarlatynę należy niezwłocznie pocztą lub przez telefon szkołę zawiadomić.

Pozatem dyrekcja szkoły uważa za konieczne zaznaczyć, że na przeciąg dni dwunastu zawiesza wykłady (nie zajęcia domowe uczniów).

Uczniowie na czas zawieszenia wykładów mają wyznaczone przez szkołę roboty domowe i te w ciągu tego czasu stopniowo codziennie powinni odrabiać.

Środki zarządzone przez szkołę handlową kupiectwa łódzkiego zasługują ze wszechmiar na uznanie i naśladowanie. W danej chwili trudno sprawdzić, czy epidemja szkarlatyny szerzy się przez inne szkoły. Jest to jednak bardzo prawdopodobne; szczególnie zaś szkoły początkowe mogą być wyborynymi siewcami choroby, gdyż tam się gromadzą dzieci warstw najuboższych, dzieci rodziców, którzy nie mają

elementarnego wyobrażenia o środkach ostrożności, a nadto chociażby nawet je mieli, to wobec ciasnoty, nędzy, lichego pożywienia, braku opału, czystej bielizny i odzieży, przy najlepszych chęciach są bezsilni i nie mogą skutecznie walczyć z chorobami zakaźnymi.

Zresztą cała Łódź posiada bardzo przyjazne podłoże dla rozwoju wszelkich chorób. Przewszystkiem sprzyja temu brak kanalizacji i wodociągów. Żadne inne miasto nie jest w tak oplakanych warunkach pod względem wody jak Łódź. Niema na świecie drugiego takiego przykładu, ażeby miasto fabryczne, pierwszorzędne ognisko przemysłowe, liczące pół miliona ludności, było bez wody, niezbędnej dla ich mienia i rozwoju fabryk oraz bez wody zdatnej do użytku mieszkańców.

Niejednokrotnie, rozbiory wody studziennej robione przez stację miejską higieniczną, znalazły w wielu studniach łódzkich zarazki tyfusu. Badania chemiczno-bakterjologiczne jakości wody wykazały, że w $\frac{1}{3}$ studzien łódzkich, woda nie jest zdalna do użytku; w $\frac{1}{3}$ zaś jest zdalna tylko po przegotowaniu a wreszcie w $\frac{1}{3}$ jest zdalna do picia. Takie wyniki dały badania przed kilku laty; a jednak od tego czasu do chwili obecnej nie zrobiono nic, coby mogło się przyczynić do przysporzenia Łodzi wody zdatnej do picia. Tymczasem zdrowa woda, jak wiadomo, jest podstawowym warunkiem zdrowia ludności.

Ponieważ Łódź nie posiada kanalizacji, więc z konieczności rozwijają się bodaj najgroźniejsze rozsądniki chorób — przez doły kloaczne, których stan w Łodzi wzbudza zgrozę. Doświadczenie uczy, że równocześnie z zanikaniem dołów kloacznych, z przeprowadzeniem kanalizacji spławnej i zastosowaniem klozetów wodnych, śmiertelność znacznie opada.

Tymczasem o kanalizacji i wodociągach w Łodzi nic nie słychać a nawet nie mamy nadziei, czy ta sprawa w najkrótszym czasie będzie wzięta pod uwagę...

Trzecim czynnikiem, wpływającym na rozwój chorób zakaźnych są ciasne, brudne i wilgotne mieszkania ludności uboższej. Żadne inne miasto nie posiada tyle co Łódź mieszkań takich.

Budowa domów tanich jest tedy w Łodzi kwestją bardzo palącą; ale gdzie je budować? Oczywiście nie w śródmieściu, a nawet nie na bliższych przedmieściach. Domy takie należy budować w okolicach miasta. Będzie zaś to możliwe dopiero wtedy, gdy komunikacja tramwajowa rozwinie się należycie i gdy wprowadzi dla ludności robotniczej udogodnienia, na wzór zagranicznych.

Dotąd jednak sprawa budowy domów tanich jest zaledwie w zarodku. Zdołano wprawdzie zapoczątkować „Nasz dach“, towarzystwo, które walczy z ciężkimi warunkami. Wobec jednak możliwości rozwoju tej ze wszechmiar pożytecznej akcji, wobec możliwego wzmoczenia z czasem wogóle ruchu w dziedzinie budowy domów robotniczych, należałoby zawczasu pomyśleć o tem jakie te domy być powinny. Pod tym względem zagranica może nam dać tysiączne przykłady. Zresztą i u siebie mamy sporo prac teoretycznych, ze wskazówkami wielce pożytecznymi. Już przed laty kilkunastu d-rowie Józef Tchórzniński i Rajmund Wojnicz opracowali godną uwagi a zapomnianą prędko broszurę, w której podkreślili, iż ideałem prawdziwego higienicznego mieszkania dla warstw ubogich jest domek pojedynczy, zbliżony do typu chaty wiejskiej. Domek taki składać się powinien z izby sypialnej, kuchenki, spiżarni, przy domku powinna być piwnica lub dół na kartofle i warzywa, obok zaś ogródek i chlewek. Ponieważ w okolicach wielkich miast, a więc i Łodzi, z powodu drożyzny ziemi o takie warunki trudno, więc wymagania powyższe mogą być zmniejszone. Projektodawcy obliczali koszt takiego domku na 800 — 900 rb., nie wliczając wartości placu a więc na dwie rodziny 1500 — 1750 rb. W ciągu jednak ostatniego dziesięciolecia ceny znacznie wzrosły i dziś nawet najskromniejszy domek pod Łodzią musi kosztować przynajmniej o $\frac{1}{3}$ więcej.

Oto jeszcze inne kalkulacje: plac pod budowę dla jednej rodziny wystarcza o szerokości i długości po 30 metrów, czyli o przestrzeni wynoszącej 2800 łokci kw. Biorąc pod uwagę, że w okolicach zamiejskich plac taki kosztować może 250 — 300 rb. przeciętnie, można rachować, iż całkowity koszt domku robotniczego wyniesie 2000 rb. Niepodobna jednak marzyć o tem, ażeby robotnicy mogli takie domki wznosić własnym kosztem. Mogą to robić tylko towarzystwa i Łódź, jako wielkie miasto fabryczne, powinno się wzorować na takim ruchu za granicą. W Anglii stowarzyszeń budowlanych dziś jest już dwa tysiące kilkaset a członków kilkaset tysięcy, z kapitałem miljardowym. Wszystkie te stowarzyszenia rozwijają się świetnie. Tylko u nas na tem polu ruch wcale się nie udaje; tylko nasze kapitały boją się tych przedsięwzięć.

Prawda, że zagranicą są inne warunki. Tam istnieje szeroki samorząd, a gdzie jest taki samorząd, tam jest łatwo o wszelkie udogodnienia komunikacyjne i wogóle kulturalne i ekonomiczne. U nas — niestety, warunki pod tym względem są oplakane i to bodaj jest główna przyczyna, dlaczego towarzystwa budowlane, obliczone na dziesiątki tysięcy ludności robotniczej, nie zdołały powstać i rozwinąć się. W każdym razie należy dążyć do tworzenia stowarzyszeń budowlanych, chociażby na razie w skromnych granicach.

Dotąd ruch budowlany podmiejski w okolicach Łodzi rozwija się powoli, ale nosi charakter całkiem prywatny. Domki budują przeważnie drobni pracownicy z różnych dziedzin. Najmniej

zaś widzimy dążności do budowy domków dla ludności robotniczej.

Dziś kiedy brak pracy wysunął kwestję robotniczą na pierwszy plan akcji społecznej, należałoby postawić na porządku dziennym sprawę tworzenia stowarzyszeń budowy domów dla robotników w okolicach podmiejskich.

Zenon Pietkiewicz.



CHWILA BIEŻĄCA.

Pomimo karnawału krótkiego, Łódź bynajmniej nie „pracowała“ intensywnie na posadzkach salonów prywatnych i publicznych. Bawiono się oczywiście, wydawano nawet bale kosztowne, na jakie stać plutokrację łódzką zawsze, nawet w chwilach najcięższych; ale zabawy te nie miały zdrowej szczeroci i swobody. Jakieś przynębienie nieuchwytne, jakiś niewidzialny, niewiadomy wyrzut sumienia zawisł w powietrzu.

Widmo przesilenia trapi sitych, widmo nędzy — głodnych. Nędza się już nie ukrywa dyskretnie w suterrenach i na poddaszach; wyszła na ulicę w całej swej nagości i grozie. A tu co dzień „plajty“, codzień nowe „trudności płatnicze“. Dzisiaj pewny, jutro niepewny, pojutrze — bankrut. Ciągły niepokój, ciągłe niepewności... Jakże tu się bawić szczerze i wesoło?.. A przytem, po zabawie całonocnej można zastać w „interesie“ kasę ogniotrwałą podziurawioną, z wysypanym popiołem. Kiepski interes! Lepiej w domu siedzieć, ucha nadstawiać na wszystkie strony, mieć bacność na cudze i własne interesy...

To też może większem powodzeniem cieszyły się w ciągu karnawału koncerty i teatry, niż zabawy taneczne, lub maskarady. Zresztą Łódź zna lepsze maskarady, umie je urządzać artystycznie, po mistrzowsku. Umie maskować swe interesy, o ile nielitościwe bezwzględne przesilenie nie wywlecze ich na światło dzienne.

Z nastaniem postu zacząną usilniej pracować estrady i sceny. Zapowiedziano sporo koncertów i odczytów. Wszystkie instytucje kulturalne mają już zapewnionych prelegentów, między którymi widzimy nazwiska ludzi znanych. Przeważnie będą to prelegenci z Warszawy. Towarzystwa muzyczno-śpiewacze pracują nad urozmaiceniem swych programów. Niektóre prócz muzyki, śpiewu i deklamacji, wprowadzają także pogadanki.

Teatry... Te nie potrzebują zdawać swej energii podczas postu, gdyż pracują usilnie od początku. Zarówno Teatr popularny p. Mielewskiego, jak i Teatr Polski wprowadzają co tydzień na sceny jakąś nowość a nadto, co pewien czas dają atrakcje pod postacią występów gościnnych artystów. Pomimo małych środków technicznych i materialnych, pomimo stosunkowo niewielkich personelów, oba teatry polskie wywiązują się wybornie ze swych zadań i dziś już zajmują poważną placówkę kulturalną w życiu polskim.

To też zasługują one nietylko na uznanie ale na jaknajszersze i stałe poparcie.

Heron.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

6)

Czarny chleb.

Chłop sięgnął do pasa, otworzył kozik, ukroił funtowy glon razowca, postawił na stole dymiącą misę — podał drewnianą łyżkę.

Obcy wraził zęby w chleb, odczuł głód i prostą pierwotną rozkosz pożywienia. Nie znał ani głodu, ani smaku czarnego chleba, który miał w sobie czerstwość skiby rolnej, zapach kłósnego pola, wilgoć rosy wieczornej.

Zdawało mu się, że chleb ten jest tem samem powietrzem, słońcem, które karmiło jego płuca w dzień — że jest — mocą ziemi. Jakby hymnem uroczystym wydał mu się powolny namaszczoney głos chłopca.

— Jadło najpierwsze i najstarsze, najważniejsze ten chlebiec święty. Do chrztu jak dziecko niosą, już mu kęsek na tę pierwszą drogę dają — i całe życie, progę chaty w drogę idący, nie przestąpi, bez chleba.

Młodzi weselnicy go całują od matki odchodząc i na nowe osiedlisko przed nimi bochen swaty — do izby wnoszą. A w trumnę człowiekowi kładą ostatnią skibkę. Chlebiec święty, dobrodziej, żywiciel — całe w nim bezpieczeństwo i zdrowie.

Powiadają niektórzy, że tyle się nad nim nabiedzisz że aż gorzki stanie, ale to gardło gorzkie u takiego. Chleb zawsze dobry, a tylko człowiek bywa jadowity. A ja nawet powiem, że im się więcej nad nim nabiedujesz — to smaczniejszy. Trzydzieści lat ja jego hodował — to różnie pamiętam. A zaczął, jak miał dwanaście roków — na Piotra, we środę ojciec umarł — a jak już świeczkę w ręce mu dali to jeszcze stęknął, i powiada do matki: żyto żeźniesz i zwieźć nie sztuka — ale bardzo mi ciężko pomyśleć czy chłopiec zdaży i potrafi roli dogodzić —

i posiać. Straszno mi — czy będziecie na drugi rok chleb swój jedli. A potem do mnie powiada: pamiętaj — w czerstwą rolę siać — a przygarść bierz wielką i szeroko rzucaj, i brony nie szkoduj. A ziarno na siew lekko okłóć ze snopa, pośledniem ziemi nie mań. A byki szanuj jak gospodarzy.

I tak mnie nauczał — do ostatniej chwili. Świeć Panie duszy jego.

Chłop umilkł, dalekiem wspomnieniem skupiony.

— I jakże ci poszło? spytał obcy.

— Bóg dał — potrafiłem. Matka była, sokół baba — duża, mocna, małowówna, jak nigdy baby nie bywają. Mnie też wzięła w ręce robota — mus — i taki hambit: że ja — mały — a gospodarz. Jak pierwszy raz jarzmo włożyłem na byka — a sochę na jarzmo i wyszedłem w pole między oracze, to taką fanaberję czułem — jakby mnie wójttem obrali. A z lęku, żeby się z mej roboty nie naśmieli to zebrałem w siebie taką siłę, taką ryzykę, że myślałem żyły z pod skóry wyskoczą.

A najbardziej się lękałem, czy byki mnie posłuchają za gospodarza przyjmą. Byk oracz — ma wielki rozum. Broń Boże oczuje głupie ręce, słabe plecy!

Chłop się uśmiechnął na te wspomnienia.

— Ale cię przyjęły — nie poznały się?

— Bo ja się zrobił od nich chytrzejszy. Myślę: ja nie umiem orać — a wy umiecie — to wy mnie uczcie! Ani krzyczał, ani poganiał, ani tuził. Żył napiął na rękojeściach sochy — trzymał, pogwizdywał — niby świadomy rataj — na zawrocie przeniósł, założył — oszukał byki — one mnie nauczyły — po ojcowsku bruzdy się pilnują. Dziwowali się ludzie — mówili nieboszczyk sierocie woły powodzi!

A i pomnę lato też Pan Bóg dał na cudo, na dziwo — na sierockie szczęście.

(d. c. n.)

BONATER.

POWIEŚĆ.

Strach, strach, wołał dalej, dając sobie folgę, strach, jako to się spełniło przeznaczenie. Ciągną czyste, upiory, głodne z podmrażanymi członkami, nagimi kośćmi świecąc. Ciągną niedobitki, niby mary piekielne bez sił i ducha, a raz wraz wałą się w śnieg na wieczne odpoczywanie. Marcin ich widział na własne oczy. Ogarnęli go w boru i byłby im z duchem nie umknął, żeby go konie nie poniosły. Potem przywarował z sankami w jarze godzin kilka, aże się ta plaga nie przewali. Od tego cierpliwość waćpanny tak długo na próby była wystawiona.

Dusza się wzdryga od słuchania, co ów o onych nieszczęsnych niedobitkach opowiada.

Panna Krystyna szeroko otworzyła oczy z podziwu.

— Jakie niedobitki? — zawoła wreszcie z przerażeniem.

— Wielkiej armji.

— To Wielka armja rozbita?

— Rozbita, rozgromiona, zniweczona.

— Nie może to być!

— Tak ci wszelako jest. A no — ciągnął dalej — dochrapał się ten wasz cacany Bonaparte, mospanie, nauczki. Wzięli go w obroty. Ciepło mu być musi w tym momencie, jeżeli go już gdzie własni żołnierze po suchej gałęzi do piekła nie wystali.

Pan Chorąży do bezwzględnych wielbicieli Napoleona nigdy nie należał. Owszem żywił raczej pewną niechęć do tego, jak go nazywał, uzurpatora i parweniusza, który narzucił się narodowi na opiekuna, a tymczasem wybierał zeń ciężki podatek w krwi i złocie.

Przykrzyły się istotnie szlachcicowi zbyt częste przymusowe pobory i rekwizycje oraz dobrowolne ofiary, od których niepodobna się było uchylić. Ale, właściwie mówiąc, nie to stanowiło zasadnicze tło niechęci. Ludzie owych czasów ofiarni byli bez miary. Składano bez szemrania na ołtarzu dobra publicznego ostatni grosz ze szkatuły i ostatnią kroplę krwi z serca. Ofiarność dochodziła do granic zupełnego zaparcia się siebie, do naj-

bezwzględniejszego poświęcenia. Nie bacząc na nic, w szlachetnym uniesieniu patriotycznym poświęcano życie i majątki. Toż zabierała obficie śmierć życie polskie na wszystkich krańcach globu ziemskiego, a dziedziczne majątki potężnych rodów przechodziły w brudne ręce lichwiarzów, liwerantów, spekulantów wszelkiego rodzaju, którzy, wolni od szlachetnych uniesień, z tego rozpalonego do białości patriotyzmu kuli dla siebie przemyślnie narzędzia zysku i na ruinach dawnych fortun zakładali podwaliny nowych potężnych rodów.

Tak to się zwykło pełnić na świecie od wieków. Ilekroć uniesie jednych zapał namiętnego afektu, natychmiast zjawiają się inni, mocni zimnym spokojem trzeźwości, a, ulowiwszy moment najsilniejszego uczuć napięcia, pewną dłonią kupieckiego wyrachowania spychają tamtych w niziny, ażeby zająć ich miejsce na szczytach.

Pan Chorąży widział to dokładnie i buntował się w duchu przeciw takiemu porządkowi rzeczy. Nie brak mu było przecież osobiście ofiarności i dobrej woli. Wszakże sam ongi służył krajowi zbrojnie, zaciągnawszy się do uformowanego przez pana podskarbiego litewskiego pułku strzelców konnych. Sypał też dla sprawy pieniędzmi, dobrze nawet nadwyrężywszy majątności, póki wierzył, że można poczynić samoistnie i narodowie. Ale dawny towarzysz Ogińskiego przyjął także jego orientację polityczną. Owszem, siedząc tu w zapadłym kącie wśród jezior Augustowskich, był może bardziej jeszcze we względzie polityki owej od wodza stronnictwa fanatyczny i prostolinijny. Toż nie dziwno, że złem okiem patrzył na Napoleona awanturniczą wyprawę, która niweczyła jego widoki i konsyderacje. Utworzenie jednak Księstwa Warszawskiego i niesłabnąca w gwiazdę wielkiego zdobywcy ufność polaków, nieco zachwiały wreszcie chorążego w przekonaniach, lecz nie zmieniły w uczuciach. Nie śmiał wprawdzie występować otwarcie przeciw opinji ogólnej; nie śmiał zwłaszcza występować ze swoimi na sprawy te poglądami i sympatjami wobec siostry, gdyż tam sympatje były całkowicie po stronie Napoleona.

Trzech synów wysłała pani sędzina na boje dalekie i o los ich, związany z losem sprawy Napoleona, troskała się nieszczęsna matka. Trzech braci i narzeczonego wysłała na boje panna Krystyna i drżała o ich życie i sławę. Nie chciał Chorąży przerażać

dziewczyny hiobowemi wieściami, ale skoro fatalnej prawdy dłużej ukrywać nie podobna, wybuchnął nienawiścią do sprawy klęsk okropnych.

Czy wrócą chłopcy, bodaj obdarci okaleczeni, znędzniali, z podmrażanemi nogami i rękami?...

— Szatan wcielony!

Panna Krystyna słuchała poważna, skulona w sobie. Twarz jej pobladła, a usta zacisnęły się kureczowo.

— Tem pilniej mi potem, co słyszę, jechać do matki — rzekła stanowczo. — Jeżeli mi wuj dobrodziej koni dać nie łaskawie piechotą przez śnieg pójdę do Krasek. Nie zostawię nieszczęsnej w takich terminach samotnie.

Nie było sposobu. Za chwilę Marcin zajechał przed ganek parą tęgich kasztanów, zaprzężonych do małych saneczek.

Krystyna spiesźnie pożegnała wujostwo i, nie tracąc chwili czasu, biegła do sanek. Chorąży podążył za nią i własnoręcznie otulał jej nogi puszystą niedźwiedzią.

— No, w imię boże.

Ruszyli.

Mrok już dobrze zapadał. Mróz nieco zelżał i zaczął prószyć drobniutki pył śnieżny. Zaledwie wyjechali z obejścia w czyste pole zerwała się kurzawa. Po chwili sunęli wśród zamieci, jakby w gęstym nieprzebytym obłoku. O trzy kroki literalnie nie dojrzeć nie było podobna.

Parli jednak śmiało przed siebie w przetrzeń tajemniczo zasłoniętą. Konie jakkolwiek zdrożone, zachęcane głosem przez Marcina szły żwawego klusa. Upalili tak może ze dwie wiorsty, kiedy Marcin zaczął zwalniać i mruzczyć coś pod nosem, aż wreszcie stanął na miejscu.

(d. c. n.)



STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Już samo zbliżenie się do murów ogrodzienieckiego zbója takiego, niebezpieczne dlań było, a cóż dopiero chęć zbliżenia się do osoby pana Władka, który bez pardonu obwiesićby go rozkazał. Teraz dopiero, gdy zamiary swoje chciał w czyn wprowadzić, zrozumiał trudność przedsięwzięcia. Zrazu myślał w przebraniu się za pątnika, ze świętych a dalekich miejsc powracającego, wcisnąć się do wnętrza zamku, ale tłuste pyski i nadmierna otyłość nie licowały jakoś z rolą nabożnego pielgrzyma. Pod skórą barania poznałby Ryć nasienie wilcze, a słowo pierwsze z panem Symeonem zamieniłby musiał, któregoby nie oszukały, ni głos, nieudatnie zmieniony, ni szata kradziona. Nadaremnie wysilał mózg, koncept żaden do głowy nie przychodził, a śpieszyć potrzeba było, boć to tylko dni trzy zostawało do wtorku, w zakutym zaś łbie, nie rodziła się myśl żadna i pusto było, jak w stodole. Najpraktyczniej mu się wydawało anonimowych słów kilka wysłać do pana Władka o niebezpieczeństwie ostrzegających, ale Zaraniec pisać nie umiał, jak zresztą cała załoga pana Nikodema, a oto już czwarty dzień ku schyłkowi się zbliżał, nie zaś nie wylegało się w głowie Kukułki. Znalazł się jednak, za poradą Lejby Ogrodzienieckiego, przygodny kauzyperda jakiś, który, coprawda, niekształtne litery stawił, poccił się, zanim słowo jedno nakreślił, ale jakoś przy pomocy długiego namysłu, na bibulastym karteluszu, pod dyktandem samego Zarańca wykoszlawił następujące wyrazy:

„Dżyś, po północku, w szypialni żonki miłoszczi waszej Jasieniec ma być“.

Kukułka.

Dziwny to był anonim — z podpisem!... ale ogrodzieniecki kauzyperda, żadnego dokumentu, bez podpisu — nie rozumiał, Zaraniec zaś, jak wół na wodę, patrzył na tajemnicze hieroglify. Zmierzch zapadał, gdy gotowy już karteluszek Kukułka w zanadrze schował.

Na zamku ogrodzienieckim na pozór nie się nie zmieniło, a jednak w duszach mieszkańców jego zapanował jakiś lęk cichy, trwożne oczekiwanie mających nadejść wypad-

ków, niespokojne serce bicie, klótnia uczuć. Najspokojniejsza może była dusza wojewody, myśli jego największa równowaga. Dzień jutrzejszy już żadnych zagadek dla niego nie miał, wszystkie wichry życia ułożyły się spokojnie w sercu, myślał już tylko o zakończeniu dni swoich pogodzeniem się z ludźmi i Bogiem, tak, jak to czynili ojciec i dziady, o których tak niedawno Przemkowi opowiadał.

W dniu, w którym miał się rozegrać dramat, zawezwał księdza, by odprawił Mszę Świętą w kaplicy zamkowej; później głowę siwą uniżył przed konfesjonalem i z życia całego spowiedź uczynił. Wszyscy, z wyjątkiem pani Dominiki, byli w kaplicy. Widzieli tę spowiedź długą, ono kajanie się pokorne, pojednanie się hardego ducha z Panem Wieczności. A dziwna to musiała być spowiedź, nie małej wagi wyznanie, aż ksiądz pleban się poruszył i tchnął głęboko. Gdy opuszczał konfesjonał a wojewoda od krated się dźwignął—rozzewniony wzrok spowiednika na Przemku spoczął, na Przemku się zatrzymał i wzrok wojewody. Dziwne te spojrzenia były i księdza i pana Włodka, rzewności i miłości pełne, aż w piersi młodzieńca zatrzymało się serce na chwilę, pobladła twarz... Owiało go jakies technienie tajemnicze i podwoiło niepokój. Wychodząc z kościoła, poprzedzony przez księdza i pana Włodka, zasłyszał cichy szept proboszcza:

— Więc dziś, wieczorem, waszmość mu wszystko już powiesz?

— Tak — odszepnął wojewoda — położę przed nim serce swoje... Albo je nadepcę i... zgniecie — albo podniesie z prochu i gorącemi usty ucałuje.

— Będzie radość w niebiesiech i na ziemskim padole—odpowiedział ksiądz.

— Nie omieszkaj w czas przyjść, dobrodzieju—szepnął wojewoda, całując ramię proboszcza.

— Po niesporach i załatwieniu spraw różnych, z powołaniem mojem związanych. Zresztą waszmości nie będzie się do snu dziś cknęło, choćym przed północą przyszedł a wyszedł o świcie.

— No jużci — jużci, w radości dniu takim — jużci!..

Aż zachwiał się Przemko, posłyszawszy te słowa wojewody... Coś się radosnego stać miało w dniu właśnie dzisiejszym i posłać się szczęściem w duszy starego pana. Nie

przeczuwa nic, nie przewiduje nic, że w serce jego ugodzi cios morderczy — —

Wsparł się o mur kościelny, taki zawrót okrutny w głowie uczuł... Coś ma się stać—błąkało się w myśli Przemkowej — coś, co snem nie zmruży powiek pana wojewody... Przed północą ksiądz przyjdzie... przyjdzie na kielich wina—jak zawsze... a tam, w komnatach pani Dominiki...

Wstrząsł się — —

Po chwili szepnął:

— Lepiej, lepiej tak!.. ze snu może obudzić szmer ucieczki, zgłuszy go brzęk kielichów. Zresztą nie odłożyć mających dziś być spełnionych zamiarów na czas późniejszy... Z Jasieńcem się już nie spotkam... Przy sobie mam klucze Maćkowe... Jasna, miesięczna zapowiada się noc!..

Szeptał tak, a usta mu drżały, dreszcz przebiegał przez ciało, zęby, jak perły, dzwoniły. Postanowił unikać wzroku wojewody, spotkał się z nim. Coś rozsadało pierś jego, rosło poczucie winy.

Dzień się dłużył — a z taką męką trwogi trzy serca oczekiwały końca dnia tego. Pani Dominika była już zawiadomiona o wszystkim. Gorące rumieńce nie schodziły jej z twarzy, szalał zegar piersi. Wiedziała, że się ważyła na rzecz straszną, że przeciwko sobie obróci opinię Miechowitów i Górków i tylu innych a innych. Jedną ją tylko pocieszyła myśl, że królewskim ulubieńcem był Jasieniec; że słowo pana zaważyć może w tym sporze miłosnym. Życie jej dotąd było bolesną rezygnacją ze szczęścia — a oto szczęście uśmiechnęło się do niej... i zapagnęła życia. Zostawi wszystko; wiano własne, klejnoty, przez męża dane, szatki, nie brane dotąd na siebie — i w skromnej sukience, by uwagi niczyjej nie zwrócić, przy lampki przyćmionym połysku, będzie oczekiwała przyjścia kochanka, wyzwolenia godziny... O, słońce!.. przebiegnij prędzej złoty gościnniec błękitów! o, nocy!.. miesięczna nocy otul świat prędzej, na czuwające powieki opuść sen mocny, bo piersi zabraknie tchu, drzeń sercu!..

(d. c. n.)





BARRY PAIN.

ROSA ROSE.

(Z angielskiego).

(Dokończenie)

Zanadto w ostatnich czasach oddawał się pracy! Tak, to, to właśnie! Ot, prosto przypuszczał, że modelka tutaj jest!

W istocie rzeczy, nie był przekonany, starał się jednak przekonać samego siebie. Wiedział przytem, że ostatnia rzecz jest z dotychczasowych jego dzieł najlepszem.

Zaczął pilnie czytać. Z początku czytał o taryfach celnych, później o nowym kabarecie, w końcu wzrok jego padł na wypadki samochodowe.

Czytał: panna Rose, modelka, przejechana została przez samochód na Salham Road w przeddzień, około godziny siódmej wieczorem. Właściciel samochodu stanął, zabrał ją do szpitala, gdzie po kilku chwilach zmarła.

Wstał z krzesła, wyjął szeroki nóż kieszonkowy i otworzył go. Była w nim mocna, (choć nieuzasadniona) chęć, pociąć obraz na kawałki. Ale wtem wstrzymał się, twarz uśmiechała się do niego z prawie niezmierną słodyczą...

Powrócił do fotela i znów usiadł.

— Nie jestem przyzwyczajony do przejść tego rodzaju, rzekł głośno.

W drugim końcu pracowni trzasnęła podłoga. Zerwał się na równe nogi.

W kilka chwil opuścił pracownię i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Jego chłopski rozum nie opuszczał go: „Powiniennem pójść do specjalisty - neurologa, ale obraz...”

* * *

— Co się dzieje z Seftonem, pytał Devigne pewnej nocy w klubie.

— Nie wiem — odpowiedział Merion — czy ostatnio nie był tutaj?

— Widziałem go, gdy był ostatnim razem i wydał mi się jakimś dziwnym. Chciał mi odstąpić swoją pracownię.

— Niezła pracownia, — odpowiedział Merion.

— Znudziła mu się. Znalazł inną, daleko, w Richmond. Djabelnie dużo czasu będzie tracił na drogę tam i z powrotem. Co on robi bez modelki?

— Jest to rzecz, która i mnie dziwi, — powiedział Merion. — Dostał Różę Rose, która mu miała pozować jako Afrodyta. Mogła to być ładna rzecz, widziałem ją. Ale, jak pan wie, Róża Rose umarła. A szkoda: była wprawdzie pod niektórymi względami kapryśną, ale nie było równie dobrej modelki, jak ona. Ciekaw jestem, jak sobie teraz Sefton radzi bez niej?

— Nie ma modelki zupełnie. Wiem napewno, bo pytałem go o to.

— Kto wie, może obraz jest już na ukończeniu. Niektórzy bardzo dobrze malują z pamięci, chociaż ja tego nie potrafię. Przypuszczam, że nie porzucił obrazu?

— Nie, tego nie zrobił. Ten obraz służy mu za wymówkę, gdy go się chce dokądś wyciągnąć. Ale za wymówkę, powtarzam, gdyż chłopak od niejakiego czasu zmienił się nie do poznania. Choć zawsze był zarozumiały, nawet powiem, tyran w obejściu i zdawało mu się, że wszystko wie, jednak można z nim było mó-

BLEDNICA.

Nim jeszcze młoda dziewczica —
A z oczu słodka gazela —
Założy tren — już blednica
W jej duszę tkliwą się wciela.

Żegnajcie, miłe spojrzenia,
Z kuzynem śmiechy, igraszki,
Dziewica w płaczkę się zmienia,
Nie chce na mleku jeść kaszki.

Wszystko ją nęka i gniewa:
Dzień chmurny i czerstwa bułka,
Że Pobratyńska zła Ewa,
Że zamąż chce przyjaciółka.

Litwaków strasznie nie cierpi,
Na ich chałaty się zżyma,
Chce być Cybelą, mieć sierp i
Mieć przyjaciela Selima.

W zeszytcie własnym krwią
własną
Chce swój napisać testament,
Ale że krew ma zbyt jasną,
Więc w końcu bierze atrament.

Chce wejść na wieżę, co szczerzy
Zęby ku chmurom i o dach
Stłuc głowę, runąwszy z wieży,
Lecz wreszcie... schodzi po
schodach.

Gdy lekarz w blade jej ramię
Ma zastrzykiwać arszenik,
W rozpacz biedna się łamie
I lzy jej kąpią na trenik.

Rodzina strasznie strapiona,
Że nie smakują jej wety,
Papuga spuszcza ogona
I woła smętnie: Niestety!

Wreszcie, choć rzecz to naj-
rzadsza
W żywocie czystej dziewczicy —
Pannie się hrabia oświadcza,
I odtąd — już po blednicy!

Leon Choromański.

wię; był towarzyski i wiele umiał. Teraz — zupełnie co innego. Jeśli go się i zobaczy — a to zdarza się nie często, — nigdy niema nic do powiedzenia. Zawsze udaje, że musi wrócić do pracy.

— Wyobraźnia tylko! — odpowiedział Merion — nie znam człowieka mniej zmiennego, niż Sefton. Czy mógłbym prosić pana o jego adres. Chcę zobaczyć, co jest z „Afrodyte“. Obraz ten jest dużo wart, zapewniam pana.

Pewnego poranku Merion zastukał do drzwi pracowni w Richmondzie, usłyszał kroki Seftona i głos jego.

— Kto tam?

— Merion. Podróżowałem kilka mil, aby zobaczyć obraz pana.

— W tej chwili mam modelkę u siebie.

— No więc cóż?

— Tak, ale byłbym niezmiernie rad, gdyby pan przyszedł za godzinę. Poszlibyśmy razem na śniadanie.

— Dobrze, — ironicznie odparł Merion — wrócę za siedm miljonów godzin, czekaj pan na mnie. — I wściekły wrócił do Londynu.

Sefton zawsze chętnie pokazywał swoje prace staremu, wypróbowanemu przyjacielowi, na którego sądzie polegać mógł w zupełności, a teraz gdy ten przyjaciel odbył podróż aż do Richmondu, radzi mu, żeby przyszedł za godzinę, a wtedy zjedzą razem śniadanie!

— To oburzające! — pomyślał Merion ze złością.

Ale teraz wyraża się o Seftonie bardzo dobrze. Jest zdania, że „Afrodyte“ wszędzieby miała powodzenie. Samobójstwo uczyniło wiele hałasu, a gdy obraz został wystawiony w Royal Academy, tłumy zalegały salę.

Znaleźli go w pracowni przed Afrodytą, już w kilka godzin po śmierci. Nakreślił na białym płótnie parę słów:

„Skończyłem, ale więcej nie mogę“.



1)

Zazdrosny Estremadureczyk.

(Z hiszpańskiego przetłumaczył Z. M.)

Z nie tłumaczonych dotychczas utworów Cervantesa.

(Wszelkie prawa przedruku niniejszego przekładu — zastrzeżone).

Lat temu niewiele, z pewnej miejscowości w Estremadurze, wyruszył w świat majątny szlachcic, syn możnych rodziców i puścił się w wędrowkę po różnych częściach Hiszpanji, Włoch i Flandrji, marnując zarówno lata swe młode, jak mienie. Wreszcie, po długich podróżach (gdy umarli już jego rodzice, a większa część majątku wydana była) zawinął do wielkiego grodu Sewilli, gdzie liczne znalazł sposobności, aby w krótkim czasie spożyć resztki swej fortuny. Widząc się tedy bez pieniędzy, a nader nielicznych przytem posiadając przyjaciół, uciekł się do środka, do którego w mieście owem wielu zatraceniów się ucieka, a mianowicie postanowił udać się do Indji¹⁾, które są przystanią i schroniskiem dla wszystkich szaleńców Hiszpanji, kościołem bankrutów, kryjówką dla zabójców, maską i zasłoną dla graczy (których biegłymi w sztuce niektórzy nazywają), najlepszą przynętą dla kobiet wolnych obyczajów, złudną nadzieją dla większości i skutecznym ratunkiem dla niewielu. Doczekawszy się więc czasu, kiedy flota jakaś w te strony wyruszyć miała, porozumiał się z admirałem, zaopatrzył się w zapasy żywności i hamak podróżny, poczem w Kadyksie wsiadł na okręt, śląc Hiszpanji pożegnanie. Podniesiono kotwicę i wśród ogólnej radości, przy pomyślnym a łagodnym wietrze, rozwinięto żagle. W kilka godzin z oczu załogi znikła ziemia, a ukazały im się niezmiernie wzrokiem przestwory wielkiego rodzica wód wszelkich, morza Oceanu.

Podróżny nasz zamyślony był głęboko i ważył w pamięci liczne a przeróżne niebezpieczeństwa, jakie poznał był w ciągu swych długoletnich wędrowek, uprzytomniając sobie jak nierozumny całemu swemu życiu nadawał kierunek. I wynikiem tego porachunku, który sam ze sobą uczynił, było niezłomne postanowienie, że od tej chwili zmieni tryb swego życia, w inny zgoła sposób rozporządzi mieniem, jakim Bóg zechce go obdarzyć i z większą niż dotychczas ostrożnością postępować będzie z kobietami. Gdy przez taką burzę wewnętrzną przechodził Filip de Carrizales (to bowiem było imię bohatera naszej noweli), cisza zapanowała na morzu. Wkrótce jednak wiatr począł dać ponownie i z taką siłą w okręty uderzył, że żaden z podróżnych nie zdołał utrzymać się na nogach, a Carrizales zmuszony był zaniechać swych rozmyślań i dać się pochłoniąć całkowicie przez troski, które mu okoliczności nastęrczyły. Podróż wypadła tak

¹⁾ Rzecz oczywista, mowa tu o Indjach Zachodnich, czyli Południowej Ameryce.

pomyślnie, że żadnych nie doznawszy niebezpieczeństw, zawinęli do portu w Kartagenie.

Aby w kilku słowach przyjść do porządku nad wypadkami, które z opowiadaniem naszym nie mają bliższego związku, powiem, że Filip miał koło czterdziestu ośmiu lat, kiedy do Indji jechał, że w kraju tym spędził lat dwadzieścia i dzięki przemyślności swej i obrotności, w ciągu tego czasu zdobył majątek sięgający stu pięćdziesięciu tysięcy dukatów²⁾. Widząc się tedy tak bogatym, posłuszny naturalnemu i wszystkim ludziom wspólnemu pragnieniu powrotu do ojczyzny, wzgardził nowemi okazjami, które nadarzały mu się w Peru, gdzie tak wielkie zebrał już był bogactwa. Kazał tedy wszystko, co posiadał na sztaby złote i srebrne przetopić i gwoli uniknięcia nieporozumień, przeliczywszy swe mienie, wrócił do Hiszpanji. Wylądował w Sanlúcar; przybył do Sewilli z równym brzemieniem lat i bogactw; ładunek srebrnych i złotych sztab odebrał nieuszkodzony; jał szukać dawnych przyjaciół i dowiedział się, że wszyscy już byli pomarli; zechciał powrócić do rodzinnego miasta, choć doszła go już była wiadomość, że śmierć nie oszczędziła żadnego z jego krewnych.

I oto, podobnie jak niegdyś, kiedy do Indji jechał ubogi i trosk pełen, samotne rozmyślenia wśród wielkiego morza chwili wytchnienia mu nie dawały, i teraz, po wielu latach, choć na stałym lądzie się znajdował, nie zagnał spokoju, ale dla innych zgoła powodów: jeśli wówczas bieda spać mu nie dawała, teraz bogactwo własne napełniało go niepokojem. Bogactwo bowiem jest równie ciężkim brzemieniem dla tego, który doń nie przywykł i nie umie się nim posługiwać, jak nędza dla cierpiącego ustawiczny niedostatek. Trosk źródłem jest złoto i brak jego troski rodzi, ale wystarczy średniej zamożności, aby tym ostatnim zaradzić, pierwsze zaś wzmagają się w miarę wzrostu naszych bogactw.

Przyglądał się Carrizales swym sztabom drogocennym, nie żeby skąpy był, gdyż długie lata żołnierki nauczyły go hojności, ale że nie wiedział co począć z niemi, zdawało mu się bowiem bezowocną zabiegliwością ukryć je, jak były, w bezpiecznym miejscu; obrócić je zaś na urządzenie domu znaczyłyby to tyleż, co oddać je na pastwę chciwości ludzkiej i obudzić czujność grabieżców. Obumarła w nim była chęć powrotu do zajęć handlowych i gdy baczył na swe lata, mniemał, że aż nadto posiada pieniędzy, aby na życie mu starczyło: radby zamieszkał na swej ziemi i ofiarował jej w hołdzie majątek, aby w spokoju i spoczynku spędzić tam stare lata, dając Bogu, co oddaćby zdołał, skoro oddał już był światu, co mu się odeń należało. Z drugiej jednak strony uprzytomniał sobie, że mieszkańcy byli ubodzy, i że obrać sobie tam siedzibę, znaczyło to, uczynić z siebie cel wszelkich natrętnych obłążeń, które bogaci zazwyczaj od biedniejszych sąsiadów doznają, wówczas na-

dewszystko, kiedy niema nikogo w okolicy, do kogo mogliby uciekać się o pomoc.

Szukał Carrizales w myślach jakiegoś dla bogactw swoich spadkobiercy i gdy wybadał swe siły, zdało mu się, że zdolen był jeszcze znieść brzemień małżeństwa. Ale gdy ta myśl przyszła mu do głowy, zdjął go strach wielki, który szamotać nim począł podobnie, jak wiatr mgłę zwiewa i rozprasza, gdyż z natury, choć nie żonaty nawet, był najzadrośniejszym na świecie człowiekiem. To też na samą myśl o małżeństwie, zazdrosne uczucia go obsaczyły i przeróżne podejrzenia dręczyć go poczęły z taką siłą, że postanowił nie żenić się wcale.

Gdy taką powziął rezolucję, a o tem jak życie swe urządzić nic jeszcze nie postanowił, los zarządził, że dnia pewnego, przechodząc ulicą, podniósł oczy i w jednym z okien ujrzał jakąś młodą dziewczynę, która liczyć mogła trzynaście do czternastu lat, a tak przyjemnej była powierzchowności i tak przedziwnej urody, że pocziwy stary Carrizales poczuł, iż broń wypadnie mu złożyć i niedołężność jego mnogich lat uleżdz musiała wreszcie przed młodym wiekiem Leonory (tak się bowiem piękna panna nazywała). Niezwłocznie mnóstwo myśli przeróżnych zakotłowało mu w głowie i tak jał mówić sam do siebie:

— Ta dziewczyna jest piękna, a o ile z wyglądu domu tego można sądzić, nie musi być bogata; przy tem wszystkiem dzieckiem jest jeszcze; jej młode lata pozwalają mi zaniechać wszelkich podejrzeń. Ożenię się z nią tedy, w zamknięciu ją będę trzymał, na swój sposób ją wykształcę, tak, że charakter jej ułoży się całkowicie według mojej woli. Nie jestem tak stary, abym nie mógł mieć dzieci, któreby po mnie odebrały spadek. Nie przyjdzie mi troszczyć się o to, czy ona przyniesie mi co w posagu, gdyż niebo dało mi dość mienia, aby na wszystko starczyło, a bogaci w małżeństwie nie bogactw winni szukać, ale zadowolenia, zadowolenie bowiem przedłuża życie, gdy przykości i niesnaski małżeńskie blizką śmierć zwiastują. Dalej więc, do dzieła! kości rzucone i oto los, który niebo mi przeznacza!

Po takich i tym podobnych ze sobą samym rozprawach, które po sto razy powtarzał w duchu, przeczekawszy jeszcze dni kilka, Carrizales rozmówił się z rodzicami Leonory. Dowiedział się, że, choć ubodzy, szlachetnego jednak byli rodu i, wyjawiwszy im swe zamiary, wykazawszy kim był i jaki posiadał majątek, jał prosić usilnie aby oddali mu córkę swą za żonę. Zażądali, aby pozostawił im nieco czasu do namysłu, chcieli bowiem dowiedzieć się, czy prawdą było wszystko, co im o sobie powiedział, on sam zaś, korzystając z tej zwłoki, mógł jednocześnie upewnić się o ich szlachectwie. Pożegnali się tedy i obie strony rozpoczęły wywiady; okazało się, że wszystko zgodne było z prawdą i wkrótce Carrizales poślubił Leonorę, złożywszy jej uprzednio w darze dwadzieścia tysięcy dukatów, dowód jak wielkim ogniem płonęło sereze zazdrosnego starca.

Ledwo ślub został zawarty, w Carrizalesa

²⁾ Ówczesny dukat amerykański (*peso*) wart był koło pięciu franków.

uczucia zazdrosne uderzyły tłumnie, tak że drzeć począł bez żadnej zgody przyczyny i jęły dręczyć go troski, jakich nigdy przedtem nie zaznał. Pierwszą oznaką tej niebywałej zazdrości było, że nie pozwolił żadnemu krawcowi zbliżyć się do swej żony, aby zdjąć miarę na liczne suknie, które zamyslał jej sprawić; chodził tedy po mieście, szukając kobiety tego samego wzrostu i tuszy co Leonora, aż znalazła się wreszcie jakaś biedna dziewczyna, na której miarę kazał skroić próbną suknię i gdy okazało się, że ta na jego żonie dobrze leżała, według tego samego wzoru inne kazał sporządzić, a obstałował ich takie mnóstwo, że teściom jego zdało się, jakoby wielkie szczęście ich spotkało, iż znaleźli dla siebie tak niebywałego zięcia i tak majątnego dla córki małżonka. Leonorę przeraził niemal widok tylu strojów kosztownych, gdyż te, które dawniej kiedykolwiek nosiła, ograniczały się do sukni z pośledniejszej tkaniny i kitajkowego kaftana.

Drugim objawem zazdrości Filipa było, że nie chciał zamieszkać wraz ze swą żoną, dopóki nie kupił jej osobnego domu i aż go w następujący sposób nie urządził. Nabywszy w wytwornej dzielnicy miasta za dwanaście tysięcy dukatów dom mieszkalny z wodą stojącą i ogrodem, w którym znajdowało się mnóstwo drzew pomarańczowych, kazał podmurować wszystkie okna, które wychodziły na ulicę tak, aby na niebo tylko patrzyły, poczem też samo uczynił ze wszystkimi innymi oknami domu. Krużganek kryty, według sewilskiego zbudowania wzoru, zamienił na stajnię dla muła, a nad nim umieścił rodzaj strychu, przeznaczając go na mieszkanie dla starego murzyna eunucha, któremu powierzona być miała piecza nad zwierzęciem. Ściany tarasów tak zostały podniesione, że wchodzący do domu w najprostszej linii spotykał się wzrokiem z niebem i nie więcej nie mógł dojrzeć. Zbudowano wreszcie galerję, która łączyła bezpośrednio krużganek z dziedzińcem wewnętrznym.

Do ozdoby domu kupił Filip sprzęty kosztowne, tak że same obicia, dywany i baldachy wymownie świadczyły o jego wielkopańskim smaku. Nabył też cztery niewolnice białe, które cyframi swemi na twarzy naznaczył, i dwie czarne, świeżo z Afryki przybyłe. Nie zapomniał również o podstolim, który miał mu dostarczać zapasów żywności, pod warunkiem że ani spać w domu nie będzie, ani nie będzie doń wchodził i tylko z galerji, od krużganka wiodącej, będzie podawał na dziedzińcu przyniesiony prowiant.

To uczyniwszy, Carrizales umieścił część swego majątku na dobry czynsz w różnych akorzystnych przedsiębiorstwach, resztę zaś oddał do banku, pozostawiając sobie trochę pieniędzy na codzienne wydatki. Kazał również sporządzić wielki klucz dla całego domu i zgromadził wszelkie zapasy, jakie mógł nabyć w większej ilości, a które miały starczyć na rok cały. Wreszcie, gdy wszystko tak zostało przewidziane i urządzane, udał się do domu swych teściów i upomniał się o żonę, którą wydali rodzice ze łzami, wyobrażali sobie bowiem, że do grobu ją prowadzą.

Tkliwa Leonora nie zdawała sobie jeszcze dobrze sprawy z tego, co ją czeka: zapłakała tedy wraz z rodzicami, poprosiła, aby udzielili jej błogosławieństwa, i pożegnawszy ich, w otoczeniu swych niewolnic i pokojówek, wiedziona za rękę przez męża, udała się do jego domu. Gdy na miejsce przybyli Carrizales zwrócił się do wszystkich służebnic z przemową, polecając im, aby miały nad Leonorą pieczę i aby pod żadnym pozorem nie wpuszczały nikogo poza obręb drzwi wewnętrznych, nie wyłączając nawet murzyna—eunucha. Straż nad Leonorą poruczył nade wszystko pewnej ochmistrzyni, osobie wielce poważnej i statecznej, która zostać miała niejako jej niańką i dozorczynią nad wszystkimi sprawami domowemi; prócz tego rozkazywać miała niewolnicom i dwum innym dziewczynom tych samych lat co Leonora, które przyjął był na służbę, aby młoda małżonka mogła w towarzystwie również się zabawiać. Obiecał wszystkim, że tak się z nimi obchodzić będzie i tak hojnie je obdaruje, iż nie pożałują swego zamknięcia, zaś w dni świąteczne wszystkie bez wyjątku będą chodziły na mszę, ale tak wczesnym rankiem, że światło dzienne ledwo dojrzeć je zdoła.

Pokojówki i niewolnice przyrzekły mu, że wszystkie jego rozkazy wypełniać będą nie ociągając się, pełne dobrych chęci i starania.

Gdy wstępne te zastrzeżenia zostały uczynione, pocziwy nasz Estremadurczyk, rozgościwszy się w swym domu, jął używać jak mógł owoców małżeństwa, a te Leonorze, ile że nigdy innych nie pokosztowała, ani nazbyt smakowite się nie wydały, ani mdłe nadmiernie i tak czas jej upływał między ochmistrzynią, pokojówkami i niewolnicami. One, aby im zbytnio czas się nie dłużył, oddawać się poczęły łakomstwu i rzadko dzień jeden mijał aby nie zajmowały się przyrządzaniem tysiącznych smakołyków, którym miód i cukier nadawały słodczy. Wszystkiego, czego im było potrzeba do podobnych zajęć miały pod dostatkiem, u pana domu nie brakło również dobrej woli, gdy przychodziło dostarczać pieniędzy na owe potrzeby, zdawało mu się bowiem, że w ten sposób, ustawicznie zajęte będąc zabawą, nie będą miały czasu myśleć o swym zamknięciu.

Leonora spędzała czas tak samo jak jej pokojówki, tym samym oddając się uciechom, i w prostocie swojej jeła nawet bawić się lalkami i innymi dziecinnymi grami się zajmować, co było dowodem jej słabego rozumu i lat dziewczęcych. Wszystko to niewysłowioną radość sprawiało zazdrosnemu małżonkowi, gdyż zdawało mu się, że lepiej jeszcze swe życie ułożył, niż mógł je sobie wyobraźnią zakreślić, i że podstęp i złośliwość ludzka żadnym sposobem nie mogły już zakłócić jego spokoju. Jedyną więc jego troską stało się przynosić swej małżonce upominki i wciąż ją nagabywać, aby prosiła go o wszystko co przez myśl jej przejdzie, podejmując się dogadzać wszelkim jej zachciankom.

W dni świąteczne, kiedy wszyscy, jak wyżej powiedziano, przed świtem na mszę się udawali, przychodzili do kościoła rodzice Leonory i rozmawiali z nią w obecności Filipa. Ten tak liczne i sute dawał im podarki, że choć niejed-

nokrotnie litowali się nad córką, widząc w jak ścisłem żyje zamknięciu, hojność czulego zięcia zamykała im usta.

Carrizales wstawał codziennie wczesnym rankiem i czekał na przyście podstolego, dla którego codziennie z wieczora pozostawiano u wnijscia kartkę z wypisanymi na niej zapasami żywności, jakie miał przynieść nazajutrz.

Po wizycie podstolego Carrizales wychodził z domu, pieszo zazwyczaj, uprzednio zaś zamykał na klucz drzwi wejściowe i wewnętrzne, między jednemi, a drugimi ustawiając na straż murzyna. Szedł na miasto, załatwiał swe sprawy, nieliczne zresztą, i rychło powracał; następnie zamykał się w domu i poczynił raczyć podarkami swą żonę i wyprawiać figle z pokojówkami, które szczerze go lubiły, gdyż był przyjemny i łatwy w obejściu: nadewszystko jednak lubiły go za to, że tak hojnym się zawsze dla nich okazywał. W ten sposób upłynął im rok cały nowicjatu i wszyscy przyzwyczajając się poczęli do nowego życia, zgodziwszy się na to, że wytrwać im w niem przyjdzie aż do końca własnych dni. I zapewne sprawdziłyby się ich przeczucia, gdyby niszczyciel ludzkich zamysłów nie był popsuł im szyków, a jak się to stało usłyszycie.

(d. c. n.)



ELIZA KOENIGSDOERFFER

Skończyło się...

(Z niemieckiego).

Ziemia była pokryta białą powłoką. Pagórki, pola i łąki znikaly pod grubą warstwą śniegu, olśniewającej białości. Ciemny, prawie czarny las, biel tę okalając, wznosił się wysoko w powietrzu bladobłękitnem. Silne i smukłe sylwetki drzew odcinały się na tle delikatnego błękitu, który czystością swą przypominał błękit letniego dnia.

Cisza, samotność i uroczystość tego świata zimowego ogarnęła całą, w dolinie się rozpościerającą wioskę.

Tam, na swem łóżku człowiek leżał umierający; człowiek, który dotychczas występował

zawsze jako przyjaciel życia i wszystkiego co żywe, który czynił co mógł tylko, by ludzi ratować od śmierci. Niezliczone razy stał u łóżka chorych, a przy boku jego niewidzialna stała śmierć, z którą walczył całą potęgą wiedzy i serca swego. I często bywał pokonanym, częściej jednak z walki tej wychodził zwycięzko.

Teraz śmierć u jego stanała wezgiłowia, rozkazując mu, by poszedł za nią. Doktor Zangl wiedział o tem, wiedział też, że śmierć tym razem będzie nieubłagana, zwłaszcza dla niego, gdyż jako wroga, nienawidzić go musiała. A Zangl tak się teraz czuł osłabionym, tak bezsilnym, że nie mógł, jak to zwykł był czynić, podjąć walki z tą straszną potęgą.

A jednak...

Jeszcze nie skończył z życiem, jeszcze nie żył wcale, — on, starzec przeszło siedemdziesięcioletni.

Świadomość ta ogarnęła go nagle; przeląkł się. Piers jego oddychająca z trudem, w ciężkiem się podniosła westchnieniu.

Wspomniał słowa Biblii: „Przeciąg życia naszego jest lat siedemdziesiąt, a jeżeliśmy przy sile lat osiemdziesiąt, a jeżeli pięknem zowiem życie nasze, to trudu było pełne i pracy“.

Takim było jego życie, — trud i praca, wciąż trud i praca, od lat najmłodszych, aż do tej chwili ostatniej, która go na łożo śmierci rzuciła.

I zawsze nosił w sercu gorącą tęsknotę za szczęściem, za jedną zupełną beztroski godziną, za jedną, jedyną godziną prawdziwej swobody.

I nigdy nie nadeszła ta godzina. Życie okrutne gnało go i gnało bez litości. Nigdy spoczynku nie zaznał ni spokoju. Nigdy, — choćby na jedną godzinę, — zrzucić nie mógł ze siebie całego ciężaru życia, i z głośnym okrzykiem radości odetchnąć pełnią swobody nieograniczonej.

Życie pozostało jego dłużnikiem, skoro mu odmówiło spełnienia marzeń jego najgorętszych. A teraz śmierć się zbliża...

Serce jego było przejęte litością nad samym sobą. Oczy zaszklily się łzami.

Zdrową ręką ostrożnie dotknął członków sparaliżowanych.

Gdyby nawet śmierć odstąpić chciała, życie go już nie przyjmie. On pozostanie kaleką; na każdym kroku zależny będzie od ludzi, którzy opiekować się i wciąż pamiętać o nim będą musieli.

To gorsze niż śmierć.

Westchnął.

Spojrzał na córkę, czuwającą przy nim, a oczy jego wyrażały bezbrzeżny smutek ogromnej, niezaspokojonej tęsknoty.

Marja pochyliła się nad chorym, ucho do ust jego przybliżając.

— Marjo! czy to drzewo jest białe?

Był to szept ledwie dostłyszalny. Miłość jednak dziecięca zrozumiała pytanie.

— Tak, ojeze; zupełnie białe. Śnieg je pokrywa.

— Śnieg?

Dusza doktora Zangla odpychała od siebie myśl o zimie i mrozie. Przecież pokój w świetle tonął i słońcu! Chory dokładnie widział drzewo, rosnące przed oknem, i zdawało mu się, jakoby gałęzie tego drzewa białem pokryte były kwieciami. Poza niem widział jasny błękit nieba.

I dusza chorego w dalszym mówiła ciągu:

— Kiedy drzewo pokryte kwieciami, to wiosna nadeszła. Tyle kwiatów w ogrodach, na łąkach? Tyle radości słonecznej na świecie! Tyle blasku i nadziei! Tyle szczęścia! A ja, — ja wcale nie żyłem!..

Tęsknota wzbierając w jego sercu i potęgując się łzami zwiłyła mu powieki.

— Jeszcze tęsknię za godziną szczęścia, a przecież do połowy jestem obumarły. Ach! czemuż choć raz jeden nie zrzuciłem z siebie trosk i pracy, i nie radowałem się z tymi, co radować się umieją, co błękitem nieba się cieszą i gwiazd światłem jasnym? Dlaczego choć raz jeden nie byłem lekkomyślny, nie biegłem jak dziecko w porze wiosennej, na łąkę, by zrywać kwiaty i za motylami gonić!

— Jak smutne, jak ciasne było życie moje, spędzone w pracy! Tylko miłości zawdzięczam godziny skromnego szczęścia, — a i te nawet zaćmione były walką o byt, tą wieczną gonitwą życiową.

Oczy jego, bezbrzeżnego smutku pełne i utajonej męki, znowu spoczęły na córce, która siedząc u łóża ojca, wpatrywała się w niego z bólem i niemą troską.

Marja! Taka młoda i już zwiędła! Nie, — nigdy nie rozkwitła, jakby tylko jesień życia zaznała, nie wiedząc wcale, co to życia wiosna!

Po raz pierwszy doktor Zangl ujrzał to, odczuł i pojął, i prócz litości nad sobą samym ogarnęła go, — niemniej dręcząca, — litość nad rodziną swoją.

Nietylko Marja była taka, lecz i inne jego córki, przez walkę o byt w wir życia rzucone. Nigdy nie rozkwitły! Życie ich nikle pozostało i młodociane, okolone murem trosk i obowiązków, nigdy nie darzące ich widokiem szerszych wignokręgów, nigdy nie wywołując z ich pierśi okrzyku, dźwięczącego świadomą radością istnienia.

Uginając się tak jak ojciec pod jarzmem ciężkiej pracy, szły przez życie jak zwierzęta

juczne, z niewymowną, choćby za jedną godziną szczęścia, tęsknotą w sercu!

Ach, gdyby chciały żyć inaczej! Porzucić zasady, przez ojca ich głoszone.

Jeszcze czas, — jeszcze mogą wybiedz na spotkanie wiosny, poszukiwanie szczęścia — lub zapomnienia. Lecz chcąc osiąść szczęście, trzeba przede wszystkim być odważnym. A czy one posiadały odwagę, nieodzownie do zdobycia czegośkolwiek potrzebną.

Doktor Zangl czuł, że musi wypowiedzieć, jaka w tej ostatniej godzinie rozbudziła się w nim świadomość. On musi wywołać uśmiech na usta tych biednych, zmęczonych istot, musi wykrzesać z ich serc iskrę szczerą, głośną radości życia.

To będzie ostatni dar jego na ziemi.

— O! żebym choć raz tylko mógł przemówić jeszcze! Jeden, jedyny raz! Cudu błagam Panie! Uczyni cud! Krzyczała jego dusza.

Lecz usta pozostały nieme, a oczy rozpacz wyrażały bezdenną.

Marja nie zrozumiała tej mowy, czyli właściwie, zrozumiała ją inaczej zupełnie.

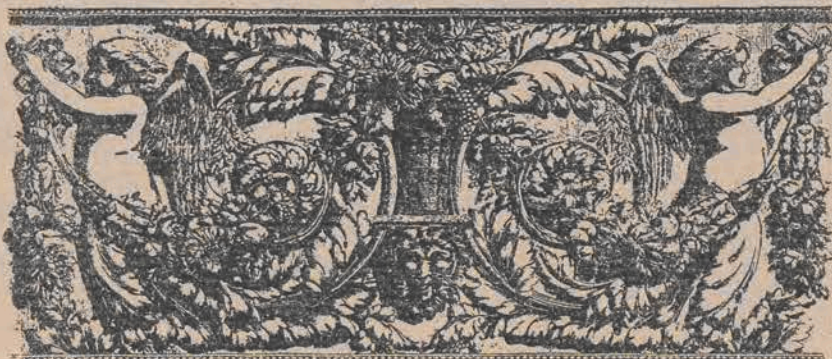
— Ojcie! — zawołała padając na kolana przy łóżu chorego, — Będziemy żyły podług Twojej myśli. Wierne będziemy aż do śmierci samej! Będziemy pracowały dla matki i najczulszą ją otoczmy troskliwością. Nie męcz się, ojcie!

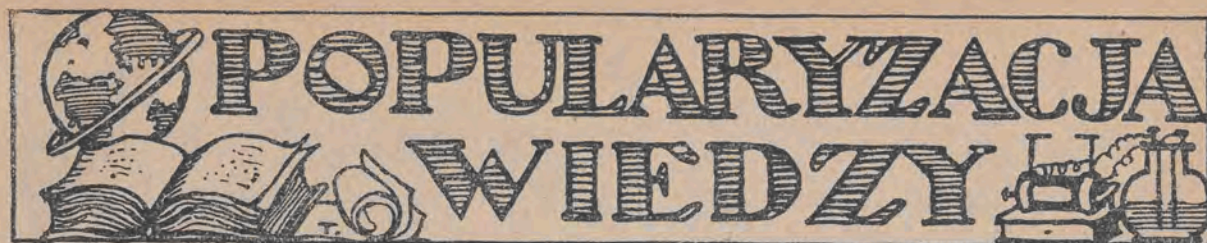
Zangl podniósł rękę, jakby dla obrony, lecz Marja, dłoń tę uchwyciwszy, korny na niej złożyła pocałunek i gorąciami oblała ją łzami. Słowa jej i ruchy były jakby przysięgą. Wiązała się coraz bardziej jeszcze.

Wówczas doktor, bólem miotany bezsilnym, przymknął oczy. Nie chciał już widzieć małego, ciasnego życia; nie chciał już słyszeć nie chciał o niem, nie chciał patrzeć na tych, co się w niem obracali, już nie o nich słyszeć nie chciał. Tęsknota jego zwróciła się ku śmierci. Przywoływał ją i czekał jej przybycia, jak się czeka przybycia przyjaciela ukochanego.

I przyszedł ów przyjaciel. I dłoń swą położył na biedne, trwożnie, jak ptaszę przelęknione, trzepoczące się serce ludzkie, a serce to ucichło i przestało się niepokoić... na zawsze.

Dla doktora Zangla nadeszła wreszcie godzina upragnionej swobody.





POPULARYZACJA WIEDZY

Przekazywanie myśli.

Przeważna część ludzi, nawet bardzo wykształconych, uważa t. zw. przenoszenie myśli z jednej osoby na inną, wprost za niedorzeczność, nad którą się nawet zastanawiać nie warto. Gdy są nawet świadkami zjawiska, przemawiającego za możliwością takiego przekazywania myśli, tłumaczą to sobie prosto przypadkowym zbiegiem okoliczności, albo nawet podstępem. Niewątpliwie działa tu rzeczywiście tylko przypadek, a w popisach cyrkowych i t. p. zachodzi istotnie nieraz i oszustwo. Za mało jednak wiemy o tem, iż przenoszenie myśli stanowi przedmiot poważnych badań naukowych i że wcale nawet nietrudno każdemu wykonać pewną liczbę doświadczeń, stwierdzających iż zjawisko jest rzeczywiście warte bliższego zastanowienia i zbadania. Na te doświadczenia chcemy dziś uwagę naszych czytelników zwrócić.

Aby jednak lepiej zrozumieć warunki w jakich doświadczenia takie udać się mogą, musimy najprzód zwrócić uwagę na fakty wprawdzie powszechnie znane, ale zamało przez nas uwzględniane. Każdy człowiek posiada mianowicie oprócz jasnej świadomości jeszcze t. zw. podświadomość, albo półświadomość, t. j. ma pewne myśli, z których niejasno zdaje sobie sprawę, a pomiędzy tymi dwoma rodzajami świadomości istnieje jeszcze szereg form przejściowych, bliższych to jednej to znów drugiej z nich. Zdarza się np. często, że gdy jesteśmy zatopieni w czytaniu poważnej książki, powstaje w umyśle naszym nagle jakaś myśl, nie mająca zupełnie żadnego związku z treścią tej książki. Myśl ta po chwili znika, ale przy dalszem czytaniu książki, powstaje po pewnym czasie znów nowa myśl nie mająca związku z tem co czytamy, lecz przy bliższem rozpatrzeniu okazująca pewne pokrewieństwo, lub logiczny wynik poprzedniej myśli ubocznej. Poza więc naszą świadomą pracą myślową, związaną z treścią książki czytanej, umysł pracował jeszcze w innym kierunku, nie zupełnie wyraźnie dla świadomości naszej, wytwarzając jakiś inny równoległy bieg myśli logicznie się z sobą wiążących, lecz w stosunku do pierwszego, głównego toku myśli, ubocznych. Gdy zasypiamy, ustępują myśli świadome, wstępują półświadome. Poczynają się marzenia senne. Najprawdopodobniej niema nawet snu bez śnienia, bez marzeń sennych, niezawsze tylko potem pamiętamy, że śniliśmy. Jeżeli po obudzeniu się, nie otwieramy oczu, możemy sobie dokładnie przypomnieć cały sen. Nagłe rozwarcie oczu, nagłe przejście od snu do jawy,

spędza odrazu cały obraz marzeń sennych. Również i udanie się doświadczeń z przenoszeniem myśli zależy od tego, w jakim stanie psychicznym znajduje się osoba, na którą myśl naszą przenieść chcemy, czy jest ona w stanie skupić się i przyjąć tę myśl tak np., jak staramy się wznowić marzenie senne, nie zrywając się z łóżka, nie otwierając oczu i skupiając swą uwagę na tem, co przypomnieć sobie chcemy. Jeżeli osoba, której mamy myśl naszą przekazać jest wzburzona, jeżeli jej własne myśli przeskakują wówczas z przedmiotu na przedmiot, doświadczenie udać się nie może. Osoba taka musi zachowywać się spokojnie, biernie i starać się przekazywaną jej myśl odgadnąć. W przeciwnym razie, jej własne myśli, niezgodne z naszymi, lub nawet im umyślnie przeciwne, jak to bywa u ludzi, starających się dowieść, że doświadczenie się nie uda, stają się głównymi, a myśl przekazywana — uboczną, półświadomą, nie krystalizującą się w umyśle. Również i osoba, starająca się myśl przesłać osobie drugiej, winna być cała przejęta tą tylko myślą i wiarą w możliwość jej przesłania; w jej podświadomości nie powinny wówczas powstawać myśli przeszkadzające głównej, przekazywanej. Z tych też powodów postanowienie udzielenia swej myśli innej osobie, nie powinno być przedsiębrane nagle, bez przygotowania, bez należytego skupienia się w niesprzyjających warunkach np. na skutek propozycji, w licznych gwarnem towarzystwie, lub wśród szumu, hałasu i ruchu w otoczeniu.

Odróżniamy przekazywanie myśli osobie, z którą mamy kontakt, t. j. której się dotykamy ręką, od przekazywania myśli bez zetknięcia z tą osobą. Trzymając np. w jednej ręce kilka kart, ujmujemy drugą ręką osoby, poddawanej doświadczeniu, prosząc ją aby zamknąwszy oczy, wyciągnęła kartę, którą poprzednio sobie obraliśmy i pokazali świadkom obecnym przy doświadczeniu. Doświadczenie to udaje się w odpowiednich warunkach, wyżej wymienionych, prawie zawsze. Niezbędnym jest jednak do tego całkowity spokój i zupełna ufność w siebie. Nie koniecznym jest jednak przytem trzymanie się za ręce; wystarczy, jeżeli obie osoby siedzą naprzeciw siebie, nie dotykając się wcale. Również nie potrzeba niezbędnie trzymać kart w ręku; można je włożyć do zamkniętej książki, aby z niej tylko wystawały i położyć książkę na stole tak, aby odnośna osoba mogła łatwo karty wyciągać. Bez kontaktu udaje się doświadczenie niewątpliwie trudniej i rzadziej.

Przy dokonywaniu doświadczeń z przeno-

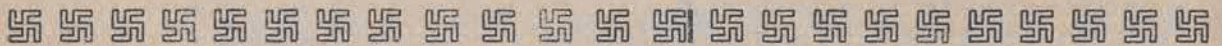
szeniem myśli nie należy się zrażać pierwszymi niepowodzeniami, które przy pierwszych próbach są we wszystkich doświadczeniach, nawet fizycznych, daleko mniej skomplikowanych, konieczne. Każde doświadczenie, nawet czysto fizyczne, udaje się tylko w pewnych warunkach i wymaga pewnej wprawy. Tembardziej stosuje się to do doświadczeń, o których mowa, mogących dać wynik pomyślny tylko wówczas, gdy do ich wykonania przystępują ludzie odpowiednio dobrani, jednakowo usposobieni i pracujący w odpowiednich pomyślnych warunkach. Nieraz jakieś otaczające przedmioty osobliwe czy zbyt jaskrawe, jakiś nużący szmer, czy czyjś śmiech, niewygodne siedzenie, czy niewygodne oparcie ręki, może w udaniu się doświadczenia przeszkodzić.

Przystępując do podobnych doświadczeń, należy rozpocząć od próby przesłania myśli możliwie prostej, wyraźnej, ściśle określonej. Pierwsze próby należy wykonać z kontaktem, siadając wygodnie naprzeciw siebie i trzymając się za ręce; rozpoczynamy od myśli, wyrażającej pojęcie jakiegoś przedmiotu, np. dom, stół, drzewo. Przekazujący myśl musi takie pojęcie mieć w swym umyśle wyrażone jasno i wyraźnie bez żadnych dodatków i niepewności; mający zaś to pojęcie odgadnąć, pogrąża się cały w chęć wyobrażenia sobie tego, o czym jego towarzysz myśli, po-

grąza się w stan niejako blizki zaśnięcia nawet zanim jego towarzysz zajął swe miejsce i rękę jego ujął. Osoba, starająca się myśl przejąć, nie powinna jednak jej zgadywać, nie powinna starać się jej odgadnąć jaknaprędzej, myśl ta musi w jej umyśle sama z siebie powstać, bez żadnej pomocy. Często odczuje ona odrazu wyraźnie o jaki przedmiot chodzi, często wyrazi ona odbieraną myśl tylko w przybliżeniu, czemu winne być mogą myśli półświadome, powstające u jednej z osób komunikujących się. O ile pierwsze próby, wykonywane tym sposobem doprowadzą do wyników pomyślnych, przejść można z kolei do również prostych doświadczeń bez styczności cielesnej między osobami, które je wykonywują. Skoro to się raz uda, przekonać się można będzie łatwo, iż na rezultat nie wpływa zupełnie to, jak daleko od siebie siedzą osoby, biorące udział w doświadczeniu.

Myśl bowiem nie przechodzi przez stykające się ręce, ani przez powietrze, a nawet wogóle nie przechodzi wcale. Zjawisko polega tylko na jednoczesnym wytwarzaniu się w umysłach obu osób jednakowego nastroju, jednakowego kierunku pracy myślowej, a stąd i jednakowych jej wyników, w wyjaśnienie czego jednak w tak ogólnym artykule szczegółowiej wdać się nie możemy.

M. Heitpern.



KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Grzyb kasztanowy. Kto bawił w Meranie, lub wogóle w Tyrolu, niewątpliwie spotyka się, jeżeli nie na targu w stanie świeżym, to przynajmniej w restauracjach hotelowych, na jadalospisach, z nieznanym u nas grzybem jadalnym, przyrządzanym tam na winie, lub ze śmietaną, smażonym, lub konserwowanym w occie, zwanym potocznie grzybem kasztanowym,

a w nauce: *Polyporus frondosus* Potoczna nazwa jego powstała stąd, że grzyb ten wyrasta zazwyczaj we wrześniu na gruncie tłustym i nieco wilgotnym, tuż obok wielkich starych drzew prawdziwego, czyli jadalnego, kasztana. Dorasta on wysokości 30 centym., przy szerokości 40—50 cm., i przedstawia się w kształcie półkuli, złożonej z krzaczkowych, grubych, mięk-

kich gałązek, zakończonych płatkowato, a ważącej nieraz 5 do 10 kilogramów (a więc prawie 25 funtów). W okolicach bardziej północnych trzyma się spokrewnionych z kasztanem dębów.

Z tych względów zainteresuje prawdopodobnie czytelników naszych wygląd tego olbrzymiego grzyba, przedstawiony na obocznych rysunkach.



Rys. 1. Grzyb kasztanowy (*Polyporus frondosus*).



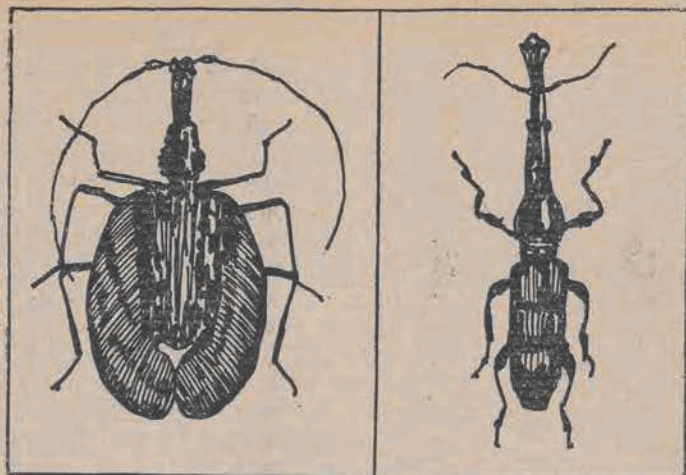
Rys. 2. Przekrój grzyba kasztanowego.

Ciekawe owady podzwrotnikowe

przedstawiają dwa nasze rysunki obojętne, z których każdy wyobraża owad o innych swoich własnościach, a stanowiący pod względem kształtu przeciwieństwo drugiego. Któżby np. w jednym z nich, zwanym *Mormolyce phylloides* (rys. 1) poznał bliższego krewnego znanego u nas żuka z zielonawo-złotą okrywą, biegającego po słonecznych drogach, lub w postaci stalowo-niebieskiego rabusia, kryjącego się po ciemnych lasach? Żadna z tych naszych form nie ma przecież tak bardzo rozszerzonych skrzydeł, ani nie przypomina kształtem i barwą zwędłego liścia, jak ten egzotyczny, 8 centymetrów długi, owad, zamieszkujący wyspy Jawę i Borneo. Drugi, pod tem samem niebem żyjący, tejże długości, czarny z plamami pomarańczowemi na grzbiecie owad, zwany *Eustrachelus temmincki* (rys. 2), ma znów, przeciwnie, kształt niepomiernie wydłużony. Nawet głowa zwięza się w długi ryj, zakończony szczytkami, przypominającymi kleszcze. Niektóre gatunki mają szerokość, nie przewyższającą jednej linii, a jest tych gatunków rodzaju *Eustrachelus* (co po grecku znaczy: długoszyjowy) kilkaset. Bywają one rozmaitej wielkości; rysunek nasz przedstawia gatunek największy.

Mól śpiewający.

Jedną z osobliwości domu japońskiego, zarówno wśród sfery zamożnej jak i ubogiej, jest mała klateczka z pręcików bambusowych, która służy za mieszkanko dla pary molów śpiewających, którym Japończycy nadali poetyczną nazwę: *fukumuszi*, „dzwoneczki szczęścia“. Właściwie śpiewa tylko samiec. Coprawda, wyraz: „śpiewa“ nie jest właściwym określeniem dźwięków, jakie wydaje ten przedziwny owad, dźwięków metalicznych raczej, niż ptaszczych. Europej-



Rys. 1. *Mormolyce phylloides*.

Rys. 2. *Eustrachelus temmincki*.

(Ciekawe owady podzwrotnikowe).

czykowi, przysłuchującemu się poraz pierwszy, „koncertowi“, licznych *fukumuszi* wydaje się, jakgdyby próbowano w jego obecności kilka dzwoneczek elektrycznych po kolei. Pragnąc wykonać swą „piosenkę“, owad wdrapuje się przy pomocy sześciu nóg na rodzaj miniaturowej estrady urządzonej w klatce, i bez żadnych przygotowań roztacza swe skrzydełka i poczyna je trzeć o siebie z błyskawiczną szybkością. Rytm tarcia jest właściwością indywidualną każdego osobnika, czemś, co go z pośród innych wyróżnia i skutkiem tego, wykonywane pieśni nabierają pewnej różnorodności melodyjnej i zróżnicowanej rytmiki.

Owady te, od niepamiętnych czasów chowane są w Japonii z zamiłowaniem godnym podziwu. Przez cierpliwą, a umiejętną dobór wytwarzają się specjalne gatunki, wydające tony subtelne i harmonijne.

Niektórzy utrzymują, że wywóz *fukumuszi*, za granicę przez długi czas surowo był zabroniony i że istniał pewien specjalny rodzaj, który znajdował się wyłącznie w posiadaniu rodziny cesarskiej. W każdym razie jest to fakt znany ogólnie, że zmarły mikado był namiętnym zbieraczem *fukumuszi*; szczególnie celował w urządzaniu prawdziwych „koncertów“, odznaczających się różnorodnością i bogactwem gam dźwiękowych.

Cenne te owady śpiewają od rana do wieczora. Za całe pożywienie starczy im liść sała-

ty, który należy zmieniać codziennie.

Kto wie, czy jakiś przedsiębiorca japoński nie zdecydował się „puścić“ do Europy „dzwoneczki szczęścia“, które mogłyby śmiało współzawodniczyć z kanarkami i innymi „śpiewakami“ klatek.

Przestrzenie pokryte lasami

zajmują podług danych, zebranych przez departament leśnictwa Stanów Zjednoczonych, dziś jeszcze obszar, stanowiący około 24 proc. całej powierzchni ziemi, co wynosi 1518 milionów hektarów. W samej Europie stosunek jest nawet jeszcze pomysłniejszy, lasy w niej bowiem, zajmujące 303,45 milionów hektarów, pokrywają 31 proc. całej powierzchni jej lądu. Pomiędzy krajami Europy najbardziej obfitym w lasy Finlandja, Bośnia i Hercegowina, gdyż w tych krajach lasy pokrywają połowę ich powierzchni. Na Rosję europejską oraz Szwecję i Norwegię przypada 78 proc. wszystkich lasów Europy. Te kraje właśnie, oraz Austria i Rumunia są obecnie w Europie jedynymi, które prowadzą jeszcze handel wywozowy drzewem krajowym.

POCZTÓWKI

Malarzy Polskich

Poleca

W. KURCZYŃSKI

Warszawa — Wierzbowa 8

Hurt i detal.

Katalog na żądanie.

LEKARZ DENTYSTA

A. ZAWADZKI

Zielna 7. Telefon 184-47.

przyjmuje 11-2, 5-7.

Słoń i lew afrykański.

Oto zwierzęta, których liczba jest coraz mniejsza i których strefa zamieszkania zżewa się bezustannie.

Słonie afrykańskie, które przebywały niegdyś na Sycylii i w Hiszpanii, wyginęły tam w cziasach przedhistorycznych. Za czasów fenickich wielkie stada słoń wędrowały w Marokko Rabacie. Obecnie nie spotyka się ich ani na północy od jeziora Czad, ani w Kalahari. Prześladowane przez człowieka od czasu epoki kartagińskiej i rzymskiej, kryją się niekiedy w lasach podzwrotnikowych, które rzędą w miarę postępu kolonizacji.

Są one tam skazane na zagładę, o ile nie pozostawi się im wolnego terytorjum, lub o ile nie zostaną oswojone.

Lwy mniej są zagrożone od słoń, ponieważ skóra ich mniej cenną przedstawia wartość.

Podług Herodota, lwy istniały w Grecji, jeszcze w czasach historycznych; w czasach biblijnych zamieszkiwały Palestynę.

Obecnie wyginęły już prawie w Indjach; w całej Azji, z wy-

jątkiem Persji, gdzie jest jeszcze ich wielka ilość, zaś niema ich zupełnie w Europie i w Południowej i Północnej Afryce.

Spotyka się je obecnie w okolicach jeziora Czad, szczególnie między Zambezi i Lukugą w Abisynji, oraz w stepach Górnego Nilu.

Telegraf bez drutu w Ameryce Południowej.

W Peru, otwarto jednego dnia dwie stacje telegrafu bez drutu, systemu Telenfukena, które uważane są za największe w Ameryce Południowej i za najlepiej urządzone w świecie. Jedna znajduje się na górze San Cristobal, niedaleko od Limy, druga urządzona została w Itaya koło Iquitos. Obie wieże mają po 106 metrów wysokości.

Wieżę San Cristobal zbudowano na wysokości 280 metrów ponad Limą, co tworzy górę wysokości 417 metrów nad poziomem morza.

Każda wieża waży 120 tonn; wybudowanie dwóch stacji kosztowało 70,000 franków. Wiel-

ki gazolinowy motor wytwarza prąd elektryczny o normalnym napięciu 110 volt.

Obie stacje komunikują się z oddaloną o 2,300 metrów bezdrutową stacją w Manaos (Brazylja), pomimo naturalnej przeszkody jaką stanowi łańcuch górski. Prócz tego istnieje zamiar wybudowania w Peru jeszcze dwóch stacji osiemdziesięciometrowych w Aveynipie i w Paicie. Będą one utrzymywały stałą komunikację z okrętami.



Odświeżanie czarnych wydrdziałych materiałów. Czarne materiały, koronki, jedwabie etc., które straciły piękny czarny kolor, odświeża się w następujący sposób.

Za 10 kop. amoniaku, za 10 kop. spirytusu lawendowego i za 10 kop. eteru siarkowego mięsza się z 1/2 litrem wody i odstawia na 24 godz. Płynem tym zmacza się materję z dobrej strony i prasuje gorącym żelazem, przelożywszy czystem płótnem.

OD REDAKCJI.

W dniu 15 lutego r. b. odbędzie się w lokalu naszej redakcji, Królewska 27, w obecności komitetu redakcyjnego oraz osób zaproszonych ze świata literackiego i artystycznego, **pierwsze losowanie oryginalnych obrazów**, przeznaczonych jako **premię dla prenumeratorów Złotego Rogu**. Losowaniu podlegają 4 obrazy za styczeń r. b. a mianowicie:

- 1) **Kietlicz-Rayskiego** — „Widok Kazimierza“.
- 2) **Kietlicz-Rayskiego** — „Typ z Chełmszczyzny“.
- 3) **Marjana Puffkego** — „Motyw z Bukowiny“.
- 4) **Stefana Filipkiewicza** — „Studjum“.

Termin losowania oznaczyliśmy na 15 lutego, w celu dania możności prenumeratorom, którzy wnieśli przedpłatę nie wprost do naszej administracji, lecz prenumerują przez księgarnie, ujawnienia nam swych nazwisk i adresów, za pośrednictwem tychże księgarni, do dnia 14 lutego włącznie; w przeciwnym bowiem razie będą wyłączeni z losowania ci wszyscy prenumeratorowie, wspomnianej kategorii, którzy w terminie wyżej oznaczonym nie dokonają tej niezbędnej do losowania formalności.

Oprócz ogłoszenia w najbliższym numerze pisma o wyniku losowania, będziemy również natychmiast zawiadamiali o tem, listownie lub telegraficznie, otrzymującego obraz. W *Złotym Rogu* reprodukowany będzie po losowaniu, nie tylko obraz, lecz i podobizna jego nowego właściciela. Prosimy więc Sz. Prenumeratorów by zechcieli mieć w pogotowiu swoje fotografie.

Przypominamy, że obrazami obdzieleni będą tylko ci prenumeratorowie, od których **przedpłata półroczna lub roczna** wpłynęła **przed terminem losowania** do kasy naszej administracji.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“.

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ 10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CIENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.” Redaktor **Feliks Kwaśniewski**. Kierow. liter. **Wacław Grubiński**.

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefony 226-83 i 152-05.**

Druk **L. Biłłuskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.**